RETROSPEKTYWNE WSPOMNIENIA POWOJENNE

Agnieszka Muszyńska

Siedlce: 1945-1947

W wyniku Drugiej Wojny Światowej, działań wojennych, wygnania z Warszawy, utraty całego dobytku i długiej tułaczki, moja nauka szkolna była bardzo nieregularna. Do normalnej pierwszej klasy poszłam jesienią 1942 roku w Warszawie, w moim rodzinnym mieście, gdy okupujący Polskę Niemcy jeszcze nie zdążyli się dobrać do polskich szkół. Wkrótce jednak polskie szkoły rozwiązano, tak że drugą klasę skończyłam na tajnych kompletach w Warszawie. Do trzeciej klasy prawie nie chodziłam wcale. Po Powstaniu Warszawskim na wygnaniu w Krakowie chodziłam przez miesiąc do szkoły dla dziewczynek prowadzonej przez Siostry Urszulanki, ale wkrótce zachorowałam na tyfus brzuszny i spędziłam kilka miesięcy w szpitalu. Po wyzwoleniu Krakowa na początku 1945 roku wyjechaliśmy do Siedlec, małego miasteczka na wschód od Warszawy. Tam, blisko już końca roku szkolnego dołączyłam do trzeciej klasy, ale zdołałam tę klasę zaliczyć. Potem już było lepiej i następne dwa lata chodziłam do regularnej szkoły w Siedlcach, aczkolwiek poziom jej był bardzo niski; miasteczko to było tragicznie zburzone i brak było zarówno nauczycieli jak i wszelkich pomocy szkolnych, włączywszy w to podręczniki i książki. Wtedy właśnie miałam niezaspokojony głód czytania, a żadnych książek po prostu nigdzie nie było.



Moja Mama, Dr. Wida-Wanda Galinowska

Mama – lekarz-okulista – wynajęła mieszkanie w starym ocalalym wśród gruzów domu na ulicy Piłsudskiego 77. Dom ten był też nieco nadwątlony w czasie wojny, ale już zdążono powprawiać wybite szyby. Wszystkie balkony zostały zniszczone i jeszcze nie odrestaurowane, tak że bardzo niebezpiecznie było otwierać balkonowe okna na naszym drugim piętrze. Budynek nie miał doprowadzonej ani wody ani kanalizacji, więc warunki były bardzo prymitywne. „Sławojka" znajdowała się na podwórku, a pompa przy następnym skrzyżowaniu ulic. Dobrze, że zniszczone wodociągi i rury doprowadzające wodę do tej pompy już wtedy zostały naprawione.



Agnieszka w Siedlcach, 1946r.

Mama zakupiła trochę mebli, w tym również pianino, bo oboje z moim starszym bratem uczyliśmy się w Warszawie już od lat muzyki. Mama znalazła szybko nauczyciela muzyki. Był nim Lech Miklaszewski, również wygnaniec z Warszawy, który w kilka lat później wrócił do Warszawy i potem przez wiele lat prowadził popularne muzyczne audycje radiowe. Był on bardzo dobrym nauczycielem i szybko robiliśmy postępy. Zaprzyjaźniliśmy się z nim, jego żoną i nieco młodszym ode mnie synem do tego stopnia, że gdy spodziewali się następnego dziecka, to zaprosili mego brata, aby został jego chrzestnym ojcem.

Wkrótce także dowiedzieliśmy się, że w Siedlcach mieszkała również znana tancerka warszawska, Ziuta Buczyńska, i że niedawno otworzyła ona szkółkę baletową dla dzieci. Zostałam do niej zapisana. Bardzo tę szkółkę polubiłam i wyniesione stamtąd umiejętności długo potem owocowały.

Bydgoszcz: 1947-1953

W 1947 roku przenieśliśmy się do Bydgoszczy, miasta, które prawie nie ucierpiało w czasie wojny, aczkolwiek jej mieszkańcy zostali poddani intensywnej germanizacji, gdyż zachodnie obszary Polski już w 1939 roku zostały wcielone do Niemiec. Bydgoszczanie nauczyli się rygorów i dyscypliny i wyprano im z mózgów fantazję i poczucie humoru. Jako dowcip opowiadano, że gdy zapytać Bydgoszczanina czy była u nich w czasie wojny partyzantka, odpowiadał: „Nie, ależ skąd! To przecież było zabronione!!"

Mama natychmiast znalazła pracę w Bydgoszczy. Przejęła praktykę lekarską wraz z przyuczoną pielęgniarką oraz z zakupem mieszkania od koleżanki, która opuszczała Bydgoszcz. W istocie Mama miała tam tej pracy aż za wiele, będąc jedną z trzech tylko okulistów w całym dużym województwie Bydgoskim! W naszym nowym sześcio-pokojowym z kuchnią i dobrze wyposażoną łazienką mieszkaniu przy ulicy Pomorskiej 10, dwa największe pokoje stały się poczekalnią dla pacjentów i gabinetem i mojej Mamy, Pani Doktór.

Już od bardzo wczesnego ranka pacjenci tłumnie gromadzili się przed domem i w klatce schodowej. Dziennie Mama przyjmowała dziesiątki pacjentów. Bywały dni, gdy miała ich ponad sto.

W Bydgoszczy kontynuowałam naukę, kończąc szóstą i siódmą klasę w dwóch kolejnych szkołach. W dwóch – bo ciągle trwał powojenny rozgardiasz, zmieniano podziały administracyjne miasta, kierując dzieci do różnych szkół. Latem 1949 roku zdałam egzamin wstępny do III-go Państwowego Gimnazjum Żeńskiego w Bydgoszczy i jesienią rozpoczęłam naukę – jednak nie w 1-szej klasie gimnazjalnej, jak to było przedtem, lecz w 8-ej klasie, gdyż w międzyczasie, podobnie jak to było w ZSRR, zlikwidowano nominalnie cztero-klasowe gimnazja i dwu-klasowe licea, tworząc jednostopniowe obowiązkowe krótsze o rok kształcenie przez 11 lat (aż dziw, że 11, a nie tylko 10, jak to było w ZSRR). W tym gimnazjum spora różnica poziomu i wymogów nauczania, w porównaniu ze szkołą podstawową, zmuszała do bardziej intensywnej pracy w domu, aczkolwiek ciągle brakowało podręczników i innych pomocy szkolnych. W tej mojej 8-ej klasie było nas wtedy 47 dziewczynek. Naszą wychowawczynią została pani Piotrowska, wspaniała matematyczka, świetny pedagog, ale była ona też bardzo ostra i ogromnie wymagająca. Jej zawdzięczam moje bardzo dobre matematyczne podstawy, bo mimo następujących później reorganizacji i przewrotów, pani Piotrowska konsekwentnie uczyła naszą klasę matematyki całe cztery lata, aż do matury.

Dramatyczna reorganizacja nastąpiła pod koniec 8-ej klasy: Przyszedł „z góry" rozkaz zlikwidowania naszego Gimnazjum! Sprawa polegała na tym, że parę lat wcześniej komunistyczne Towarzystwo Przyjaciół Dzieci (TPD), otworzyło w Bydgoszczy koedukacyjną szkołę dla dzieci komunistów w jakimś niezbyt nadającym się pomieszczeniu. Uczniów tam przybywało, nauczycieli brakowało, warunki były złe. Organizacja TPD miała jednak „chody" na wysokich szczeblach, a że budynek naszej szkoły był duży, piękny i wygodny, oraz zawierał bardzo konserwatywną dyrekcję i przedwojenne ciało nauczycielskie, które wydawało się władzom warte przetrzebienia, więc upatrzyli sobie nasze gimnazjum. Uczennice miały opcję przeniesienia się do jeszcze jednego istniejącego gimnazjum żeńskiego w Bydgoszczy, albo pozostania w budynku, by dalej uczyć się w koedukacyjnej szkole TPD, co ja wybrałam. Podobne opcje prawdopodobnie mieli również nauczyciele. W sumie połowa ich pozostała, przechodząc pod egidę TPD. Pozostał i uczył nas również później świetny historyk, pan Kaczanowski oraz polonista, pan Kosiński, który musiał tolerować narzucone przez reżym nowe lektury – książki „soc-kultury", typu „Numer 16 produkuje". Takich lektur on sam nie czytał, bo pewnie brzydził się ich treścią (oczywiście jako inteligentne dziewczyny szybko potem wydedukowałyśmy to, wykorzystując ten fakt na naszą korzyść).



Fronton budynku III-go Państwowego Gimnazjum Żeńskiego, późniejszej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły TPD, obecnie VI-go Liceum Ogólnokształcącego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy

Moja klasa również podzieliła się na dwie części, ponad połowa bardziej konserwatywnych koleżanek przeniosła się do tego drugiego gimnazjum.

I tak we wrześniu 1950 roku zaczęłam uczęszczać do 9-ej klasy Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły TPD. Połączenie dwóch szkół zwiększyło znacznie liczbę uczniów no i nasza szkoła stała się koedukacyjną, aczkolwiek w mojej klasie prawie przez całe trzy lata aż do matury były same dziewczynki. „Przesiana" część nauczycieli pozostała w szkole. Wychowawczynią naszej klasy IXc została biologiczka/chemiczka, pani Kołaczkowska, nazywana po prostu „Gloną", która uczyła nas (dość nieudolnie) już w 8-ej klasie. W przeciwieństwie do Pani Piotrowskiej, była niezbyt dobrą nauczycielką, roztrzepaną, nie za dobrze znającą materiał, a szczególnie chemię, i chyba trochę zagubioną w przewrotach i tragediach wojny oraz okresu „walki klasowej" i intensywnego wdrażania komunizmu w Polsce.

Był to rzeczywiście okres bardzo trudny dla inteligentów z przedwojenną kulturą. W naszej szkole od razu to było widoczne. Zjednoczony na siłę w 1948 roku, bardzo później aktywny Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) natychmiast rozpoczął agitację i rekrutację nowych członków. (ZMP powstał z połączenia Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Związku Młodzieży Demokratycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici" i Związku Walki Młodych; był on podporządkowany Polskiej Partii Robotniczej, a następnie PZPR; powołano go w celu wdrażania polityki partii komunistycznej wobec młodzieży; ZMP rozwiązano po fali rozruchów w 1956 roku.) Praktycznie cała

nasza klasa poprostu musiała się zapisać do tego związku. Tak zresztą było i lepiej, bo w dużej masie wszystko zaczynało się rozmywać.



Nasz chór śpiewający w szkole na akademii; rok 1952

W ciągu dalszych trzech lat nasza klasa była klasą wyjątkową w tej szkole. Same dziewczyny, bodaj w 100 procentach pochodzenia inteligenckiego, a więc zdolne (do wszystkiego). Dwóch czy trzech chłopców, którzy zaczeli chodzić do naszej klasy, wkrótce zrezygnowało, przenosząc się gdzie indziej. Podobnie jak ja sama, wiele moich koleżanek uczyło się poza szkołą muzyki, tańców, języków. Wszystkie dziewczyny były roztańczone i rozśpiewane i przodowały w wypełnianiu „części rozrywkowych" na różnych akademiach „ku czci". Często ja sama często rozpisywałam harmonię piosenek na głosy i opracowywałam choreografię tańców (po zajęciach rannych w szkole chodziłam przez 5 lat do regularnej Średniej Szkoły Muzycznej z klasami Fortepianu, Solfeżu i Harmonii muzycznej oraz przez dwa lata do Szkoły Baletowej w Bydgoszczy). W ten sposób „zbierałyśmy sobie zasługi" w dziedzinie obowiązkowych prac społecznych.

Tak. To była ta wstrętna epoka komunistycznego prania mózgów. No i głównie hipokryzji. Bo w inteligenckich domach mówiło się co innego, a w szkole należało deklamować co innego, wiec trzeba było ciągle uważać by się nie potknąć.

Już w 8-tej klasie zawiązała się grupka przyjaciółek pod ogólną nazwą „Rodzina Poldziów". Ja byłam w tej „rodzinie" dziadkiem Pankracym. „Rodzina" ta przetrwała aż do matury, aczkolwiek Zarząd Szkolny ZMP wielokrotnie próbował nas „rozrabiać", jako „kapitalistycznych reakcjonistów". Pamiętam kilka takich przerażających zebrań...



Agnieszka i Alina na wakacjach w Jastarni, 1951 r.

Trzymałyśmy się jednak razem bardzo mocno. Najbardziej przyjaźniłam się z Iwoną, Renią, Martą, Mirą oraz z Aliną. Z tą ostatnią siedziałam przez 3 lata, aż do matury w jednej ławce i na nudnych lekcjach grałyśmy pod ławką w „kółko i krzyżyk" albo w „kartofelki". Po lekcjach prowadziłyśmy długie rozmowy z cyklu „o życiu".

I tak mijały następne lata szkoły.

Będąc już w 11-ej klasie, na naszym balu-studniówce w lutym 1953 roku, nieoczekiwanie pojawiła się niejaka „towarzyszka Rudnicka", delegat Ministra Szkół Wyższych w celu propagowania i werbowania chętnych na studia zagraniczne. Zamiast tańczyć i bawić się musieliśmy wysłuchać długiej i kwiecistej tyrady na temat najrozmaitszych ofert studiowania w Demoludach oraz ZSRR. Faktem było, że Polska była zniszczona wojną i niewiele uczelni funkcjonowało, więc szanse dostania się na wyższe studia były małe, bo na niektóre kierunki było po 20 zgłoszeń na jedno miejsce. A w tych innych krajach oferowano wiele ciekawych kierunków studiów, których w Polsce wogóle nie było. Wiedzieliśmy, że jeden z naszych starszych o rok kolegów, Józek, pojechał przed pół rokiem na studia do Moskwy i dobrze mu się tam działo. Bardzo dużo moich koleżanek i kolegów z równoległych klas maturalnych było zafascynowanych propozycjami. Towarzyszka Rudnicka porozdawała formularze do wypełnienia. Kilka dni później przyszła je zebrać. Okazało się, że chętnych było sporo. Należy jeszcze dodać, że żadnych innych „agitacji" czy nawet minimalnej nawet informacji dotyczącej kierunków studiów w Polsce czy też za granicą nie było. (W późniejszych latach o wyższych uczelniach można było wszystkiego się zawczasu dowiedzieć i same uczelnie aktywnie werbowały studentów; w tamtych czasach to nie istniało.)

Ja zgłosiłam się również. Wtedy zupełnie nie byłam zdecydowana na jaki iść kierunek, bo praktycznie żadnej informacji na temat wachlarza studiów nie było. Zawsze tradycyjnie chciałam zostać lekarzem, tak jak Mama, Ojciec i Dziadek. Tymczasem studia medyczne były zawsze najbardziej oblegane: zgłoszeń było ponad 20 na jedno miejsce, więc szanse dostania się były nikłe, szczególnie, że miałam „złe" pochodzenie. Dzieci robotników i chłopów dostawały dodatkowe punkty. Ponadto Glona tak mnie zanudziła biologią, a szczególnie chemią, której chyba po prostu nie znała dobrze—a książek do nauki nie było—że nie bardzo sobie wyobrażałam zdanie egzaminów wstępnych z tych przedmiotów. Zgłosiłam się na Optykę w Lipsku w

Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD). Takiego kierunku studiów w Polsce wogóle nie było. A Lipsk był znany, ze względu na firmę Zeiss'a. Miałam też trochę praktyki optycznej w domu u Mamy-okulistki (często pomagałam jej w pracy). I tak, moje papiery, razem z papierami kiludziesięciu kolegów i koleżanek powędrowały do towarzyszki Rudnickiej.

Od tego momentu wszystko zaczęło się toczyć lawinowo i bez możliwości kontroli.

Trzeba trafu, że mały synek towarzyszki Rudnickiej zachorował na oczy. A ona w moich papierach wyczytała, że Mama jest okulistką. Zaczęła więc przychodzić z synkiem do gabinetu Mamy, no i oczywiście wtedy panie porozmawiały sobie „o dzieciach". Gdy po kilku tygodniach synek wyzdrowiał, towarzyszka Rudnicka powiedziała Mamie, że z wdzięczności zrobi absolutnie wszystko, bym ja pojechała na te studia optyczne. Myślę, że już wtedy Mama nie była wcale zachwycona obrotem sprawy, ale nie oponowała, sądząc, że dużo rzeczy w międzyczasie może się zdarzyć.

Tymczasem nieoczekiwane wydarzenia miary historycznej zmieniły bieg dalszych decyzji.

Otóż po ogłoszeniu nowej ustawy rządu NRD zwiększającej wymagania wydajności pracy robotników o 10%, podczas gdy w tym samym czasie ceny żywności w tym kraju poszły w górę, w całym NRD zaczęły się rozruchy. Strajki i demonstracje w blisko 400 miejscowościach były krwawo tłumione głównie przez okupacyjne wojska ZSRR. Wreszcie 17 czerwca 1953 roku wprowadzono na całym terytorium NRD stan wyjątkowy. Oczywiście wszystkie wyjazdy do tego kraju zostatały natychmiast wstrzymane.

Towarzyszka Rudnicka była kobietą twardą i stanowczą. Nie dawała tak łatwo za wygraną. Szybko przeszukała wszystkie inne oferty studiów i.... BINGO!!... znalazła ten sam kierunek „Optyka" oferowany przez najlepszą wyższą uczelnię techniczną w ZSRR, założoną jeszcze w 1830 roku, „Wyższeje Tiechniczeskoje Uczilisczce Imieni Baumana" (MWTU) w Moskwie. Automatycznie zostałam przypisana do tej oferty.

Gdy Mama dowiedziała się o tym to, nic mi nie mówiąc, wybrała się z wizytą do gabinetu towarzyszki Rudnickiej. Od razu na wstępie oznajmiła jej, że nie życzy sobie, aby jej córka wyjeżdżała do Moskwy. Towarzyszka Rudnicka tego nie oczekiwała. Zawrzała gniewem. Czerwona na twarzy uniosła się zza biurka i z góry wycedziła przez zęby do Mamy: – Towarzyszko Galinowska!! Jak to, wy nie chcecie pozwolić córce na wyjazd do przodującego kraju!! Do najlepszej uczelni na świecie!! Jeżeli wy zabronicie swojej córce pojechać do Moskwy, to ja zrobię wszystko, by dostała ona „wilczy bilet" i nigdy na żadne studia w żadnym kraju nie została przyjęta!! – zaszantażowała i przeraziła moją Mamę z kretesem. Zaskoczona Mama potulnie wycofała się i szybko zgodziła się na tę Moskwę łagodząc sytuację, bo groźba towarzyszki Rudnickiej brzmiała całkiem serio.

O tej rozmowie Mamy w biurze towarzyszki Rudnickiej nic nie wiedziałam i dowiedziałam się o niej od Mamy dopiero po roku, gdy przyjechałam z Moskwy na wakacje do domu.

Kilka dni po tej rozmowie, już po mojej maturze, która poszła mi bardzo dobrze, nadszedł list, że zostałam zakwalifikowana na studia w Moskwie i że mam się zgłosić wkrótce na egzaminy wstępne w Poznaniu.

Mama mnie niekonwencjonalnie namawiała: – Nie zdaj, proszę, tych egzaminów!! – podczas gdy ja zawsze jechałam na samych piątkach. Tym razem jednak miałam szansę nie zdać, bo w programie egzaminu był również język rosyjski, którego w szkole nie uczyłam się. Parę tygodni wcześniej z ciekawości nauczyłam się sama czytania „*bukw*" i jeżeli słowa rosyjskie były podobne do polskich, to oczywiście je rozumiałam i czasem z kontekstu domyślałam się reszty. Ale oczywiście nie zawsze. No i o gramatyce nie miałam pojęcia.

Egzaminy odbywały się na Uniwersytecie Poznańskim, a egzaminatorami byli pracownicy Uniwersytetu, więc poziom i wymagania były generalnie wyższe niż w szkole średniej. Najwpierw w wielkiej amfiteatralnej auli odbył dość trudny wielo-godzinny pisemny egzamin z matematyki z rozmaitymi nietypowymi „kruczkami", ale z matematyką nie miałam nigdy kłopotów. Nawet zdążyłam dać ściągi zagubionym chłopakom siedzącym obok. Ustne egzaminy z fizyki i nauk „społecznych" też przeszły dość gładko, aczkolwiek nieznane wieloosobowe komisje egzaminacyjne bardzo onieśmielały zdających. Ostatnim był egzamin z rosyjskiego. Weszłam do sali i szczerze powiedziałam komisji, że niedawno poznałam „*bukwy*" i że mogę przeczytać tekst, ale zrozumiem go tylko, jeżeli słowa będą podobne do polskich. Komisja pokiwała głowami i podziękowała mi. Na korytarzu natknęłam się na towarzyszkę Rudnicką, która chciała się dowiedzieć jak mi poszło. Opowiedziałam jej o postępach w egzaminach, w tym i o egzaminie z rosyjskiego. A ona

wściekła się i natychmiast wrzasnęła z góry na mnie: – Jak to, oddałaś walkowerem?! Tak nie wolno robić!! Natychmiast to trzeba naprawić!! – I zaciągnęła mnie spowrotem przed tę Komisję. Coś tam z nimi poszeptała i przedstawiciel Komisji wręczył mi otwartą książkę rosyjską i kazał przeczytać i przetłumaczyć zaznaczony tekst. Byłam w tym momencie już bardzo zdenerwowana, ale przeczytałam ten akapit jako tako. Natomiast z tłumaczeniem było dużo gorzej, bo kilkakrotnie powtarzane słowo „*szachtiory*" było mi nieznane i z niczym zupełnie mi się nie kojarzyło. Więc stałam tam przed tą komisją i nagle zrobiłam coś, co mi się nigdy nie zdarzało: wybuchnęłam płaczem! A nawet nie miałam przy sobie chustki do nosa... Towarzyszka Rudnicka wyciągnęła ze swojej torby wielką białą chustkę, podała mi ją i wyprowadziła na korytarz. A tam widziałam tłumy młodzieży patrzących na mnie z pogardą: „ Głupi maluch!" „Nie zdała i ryczy!" Nie mogłam się uspokoić. A towarzyszka Rudnicka o ogromnym wyrzutem w głosie powiedziała do mnie: – Jak to można nie wiedzieć kto to są „*szachtiory*"!! To przecież „GÓRNICY"!!!

Wyprowadziła mnie w końcu z tego miejsca i zmusiła do uspokojenia się, w czym znacznie pomogła zaoferowana mi szklanka herbaty w pobliskiej kawiarni.

Kilka dni później nadszedł do domu list, że 8-go lipca mam się zgłosić w Warszawie w celu odbycia 6-tygodniowego Kursu Przygotowawczego przed ewentualnym wyjazdem na studia. A wyjazd do Moskwy zależeć miał od zdania egzaminów końcowych po tym kursie. Trzeba dodać, że byłam jedyną osobą wytypowaną na studia zagraniczne z naszej szkoły.

Ponieważ o rozmowie Mamy w biurze towarzyszki Rudnickiej nic nie wiedziałam, to w istocie nawet się dziwiłam, że Mama już nic nie oponuje i że zaczęła konstruktywnie podchodzić do mego wyjazdu. Natychmiast zarządziła zrealizowanie trzech ważnych spraw. Pierwszą była operacja wycięcia moich migdałków. Od wielu lat miewałam częste anginy i moje migdałki były chronicznie wypełnione ropą. Drugą sprawą były nasze wspólne wakacje. Mama uznała, że po operacji, no i oczywiście po całym roku szkoły i ciężkich egzaminach należy mi się trochę wypoczynku. Wakacje zostały zorganizowane nad jeziorem Charzykowskim niedaleko Chojnic. Tam mieszkali Mamy przyjaciele Janiccy (Dorek Janicki był chirurgiem). Trzecią sprawą było zamówienie u krawca kostiumu, nowej pelisy na bazie starego futerka, oraz paru sukienek dla mnie. Do tego doszły zakupy ciepłych butów i innych drobiazgów. Miałam przecież spędzić srogą zimę w daleko bardziej na północ położonej Moskwie!



Danka i Staszek

I tak wszystkie punkty tego planu zostały zrealizowane. Operacja się udała, przeleżałam kilka dni w szpitalu i rzeczywiście później nigdy już nie chorowałam na anginy. Wakacje z Mamą też się udały, pogoda dopisała i bardzo polubiłam żeglowanie na jeziorach.



Ostatnie dni w Warszawie; Mama i ja na Placu Konstytucji w sierpniu 1953 roku

Do Warszawy na kurs dojechałam dopiero w sierpniu. Ale niczego nie straciłam, bo w większości uczyli się tego co już umiałam. Skoncentrowałam się na języku rosyjskim. Okazało się, że takich początkujących jak ja było sporo. Od razu też skontaktowali mnie z dwiema osobami, Danką i ze Staszkiem. Koledzy ci również mieli jechać na „Optykę" do Moskwy. Od razu więc miałam towarzystwo. Mieszkaliśmy w Akademiku na Placu Narutowicza, a ja cieszyłam się, że znów jestem w Warszawie, moim rodzinnym mieście. Atmosfera na kursie była sympatyczna, żadnej dyskryminacji z powodu pochodzenia, ani oznak „walki klasowej", okropnej zmory moich ostatnich trzech lat w szkole średniej.

Egzaminy końcowe przeszły nieźle. Potem podróż do domu na parę dni i – znów do Warszawy, skąd 29 sierpnia 1953 roku mieliśmy wyruszyć pociągiem do Moskwy.

Mama pojechała ze mną do Warszawy, by wspólnie jeszcze przed moim odjazdem odwiedzić rodzinę i przyjaciół. Nawet udało się nam dostać bilety do teatru na szekspirowską komedię.

Z Mamą ustaliłam kody przyszłego porozumiewania się. Przede wszystkiem regularne pisanie listów: raz na tydzień. Na Kursie ostrzegli nas, że wszystkie listy są otwierane i kontrolowane, więc nie należało pisać czegokolwiek trefnego. Mama jednak chciała by koniecznie w jakiś sposób dać jej znać, gdyby mi coś złego się przytrafiło, żeby mogła ona natychmiast w odpowiedni sposób wszcząść akcję ratunkową. Ustaliłyśmy więc i to również. Mama była pełna niepokoju. Błagała mnie, bym się przypadkiem nie zakochała w żadnym Rosjaninie, bo wtedy pewnie musiałabym tam w ZSSR pozostać...

Pociąg w kieunku Moskwy odjeżdżał z Dworca Wschodniego. Przyjechałyśmy z Mamą na dworzec dość wcześnie. Już na peronie spotkałam wielu kolegów z kursu. Pożegnania z rodzinami, ostatnie zalecenia i – jedziemy w nieznane na wschód.

W tym momencie zaczynała się dla mnie zupełnie nietuzinkowa i nieoczekiwana jeszcze przed kilkoma miesiącami przygoda.

Miałam wtedy niecałe 18 lat.

Moskwa 1953 roku: Początki

W Brześciu nad Bugiem na granicy, która przywitała nas emblematem ZSRR, mieliśmy przesiadkę do rosyjskiego pociągu. Szyny w tym kraju są rozstawione dużo szerzej niż w reszcie Europy. Po parogodzinnym wyczekiwaniu załadowaliśmy się do dużego otwartego wewnątrz wagonu. Pod wieczór okazało się, że miejsca siedzące i stoliki, jak również deski wiszące na ścianach wagonu rozkładają się i powstają w ten sposób leżanki do spania, w liczbie takiej samej jak liczba miejsc siedzących. Konduktor przyniósł pościel oraz „*kipiatok*", gorącą wodę do picia oraz proponował coś do jedzenia, ale już za pieniądze. Podróż trwała ponad 24 godziny. Pejzaż za oknami był wyjątkowo monotony i nieciekawy. Ale nie nudziliśmy się, śpiewaliśmy, graliśmy w karty i różne inne gry.



Emblemat ZSRR

Wieczorem następnego dnia nieoczekiwanie na dworcu w Moskwie przywitali nas Polacy, koledzy-studenci z wyższych lat z tej samej uczelni MWTU. Przez polską Ambasadę dowiedzieli się kiedy przyjeżdżają nowicjusze i postanowili ich spotkać, bo gdy oni przyjeżdżali w poprzednim roku – nikt ich nie witał i mieli duże problemy. Byliśmy bardzo zadowoleni i wdzięczni, że mamy już oparcie i pomoc na miejscu. Noc spędziliśmy nie daleko w Akademiku innej uczelni, której studenci jeszcze nie zapełnili i do której nas skierowano. Nasi koledzy obiecali przyjechać po nas wcześnie następnego ranka i „przeprowadzić" nas do właściwego Akademika.

Tak więc nazajutrz wyruszyliśmy z naszymi bagażami w drogę – po raz pierwszy tym osławionym Moskiewskim metrem. Rzeczywiście zrobiło ono na nas duże wrażenie. Wystrój wszystkich stacji metra był zadziwiająco piękny: rzeźby, obrazy, mozajki, ogromne kryształowe kandelabry, wyglądające nieomal jak w pałacach. Naszą stacją docelową była „*Baumanskaja*". Nota bene, Nikołaj E. Bauman, od którego imienia nazwana była ta stacja metra, jak i którego imię nosiła nasza uczelnia, był rewolucjonistą i działaczem partii komunistycznej Rosji przed i w czasie rewolucji 1905 roku, podczas której został zabity.



Jedna ze stacji moskiewskiego metra

Od stacji metra do MWTU było 15 minut drogi, które musieliśmy przejść i przetransportować nasze bagaże. Byliśmy wdzięczni kolegom za pomoc. Doprowadzili nas do Akademika MWTU na ulicy Brigadirskij Piereułek, na przeciwko ogrodzonego kampusu uczelni. Wtedy dowiedzieliśmy się, że „akademik" po rosyjsku znaczy „*obszczeżycie*", czyli „zbiorowe życie". Dopiero później skonfrontowaliśmy jakie to słowo w istocie miało znaczenie. Zostawiliśmy tam bagaże i nasi koledzy zaprowadzili nas na kampus do Administracji. Tam zaczęły się biurokratyczne przepychanki. Każdemu z nas wręczono 30-stronnicowy formularz biograficzny, cały stos „*bumag*" w trzech egzemplarzach do wypełnienia. Przenieśliśmy się z tymi ankietami na ławkę niewielkiego parku wewnątrz kampusu. Wypełnienie ich

zabrało nam około 6-ciu godzin. Rubryki dotyczyły nie tylko osoby-petenta przyjmowanego na studia, ale całej jego rodziny, braci, sióstr, rodziców i dziadków, gdzie i co robili przed rewolucją, po rewolucji, przed wojną, po wojnie i tak dalej. Zgodnie z sugestią mojej Mamy nie wspomniałam, że ojciec zginął w Starobielsku pod Charkowem, zabity przez Rosyjskich komunistów w 1940 roku (wraz z tysiącami innych polskich więźniów wojennych). Było to wielkie „tabu". Napisałam, że „zginął na wojnie", co zresztą było prawdą, aczkolwiek niezupełną. Danych dziadków prawie nie znałam, więc też jakoś musiałam je obejść naokoło. Przy tym wypełnianiu ankiet znów ogromnie pomogli nam nasi koledzy. W międzyczasie pojawili się na chwilę przy naszej ławce również i inni koledzy-Polacy, studenci MWTU z wyższych lat i umówiliśmy się na wspólny obiad w restauracji wieczorem.

Po tej żmudnej pracy nad ankietami, znów była długa wizyta w administracji, gdzie w końcu dostaliśmy szereg ważnych papierów, między innymi tygodniowy program zajęć grupy, do której byliśmy zaliczeni, skierowanie do Akademika, tymczasową przepustkę na kampus oraz stypendium (485 rubli) za miesiąc wrzesień (dostawaliśmy potem jeszcze dodatkowo 320 rubli miesięcznie z Polskiej Ambasady, więc nasze stypendium było większe niż kolegów-Rosjan, ale mimo to, moi polscy koledzy zwykle pod koniec miesiąca musieli pożyczać…). Około 6-ej wieczorem, głodni i zmęczeni, powlekliśmy się spowrotem do Akademika. Koledzy sprawnie pomagali załatwiać nasze zameldowanie. Potem otrzymaliśmy znów jakieś nowe *bumagi*, czyli papiery, które wymagały jakiegoś specjalnego załatwiania na mieście. Zupełnie nie mogliśmy zrozumieć o co chodzi. Mówili coś o „*bani*", ale bania, czyli dynia z niczym nam się nie kojarzyła. Nasi koledzy trochę się z nas śwyśmiewali. Okazało się, że musimy przejść specjalną kąpiel w łaźni, która właśnie nazywała się „*banią*". Po długiej podróży, a szczególnie po całym dniu ciężkiej pracy nad ankietami na świeżym powietrzu kąpiel w łaźni była niezwykle przyjemna, aczkolwiek również zadziwiająca. Ten obowiązek kąpieli przed wpuszczeniem nas do Akademika wiązał się z czymś więcej niż umyciem: nasze ubrania zostały „odwszone", a po umyciu przejrzano również nasze głowy, czy nie mają wszy. No cóż, wydawało się, że higiena stoi tam na pierwszym miejscu. Niestety tylko „wydawało się", bo wkrótce po konfrontacji rzeczywistość okazała się inna: w Akademiku były brudy i miliony pluskiew! Po tej kąpieli trochę odżyliśmy, by znów dotrzeć do Akademika. W Administracji wreszcie nas zameldowano i wydano wąski, cienki materac zwinięty w spiralę, koc, poduszkę, poszewkę i dwa prześcieradła, oraz deskę kreślarską formatu A1. Dankę i mnie zaprowadzono do sporego pokoju Nr 52 na drugim piętrze, w którym stało 10 pustych żelaznych łóżek (ale na szczęście nie piętrowych!) z małymi szafkami nocnymi obok, dwie szafy i dwa duże stoły w środku z czterema krzesłami. Z trudnością można było przejść przez ten pokój. Jedyna sufitowa żarówka oświetlała go. I tak dobrze, że byłyśmy z Danką pierwsze i miałyśmy szansę wyboru łóżek, ale ten 10-osobowy pokój ogromnie mnie przeraził (w domu miałam oddzielny pokój dla siebie i byłam przyzwyczajona do nauki w komforcie i spokoju…). No cóż, było to właśnie „*obszcze życie*", wszyscy na kupie, ale gdy się nie ma jeszcze nawet 18-stu lat, to do wszystkiego można się względnie szybko przyzwyczaić (aczkolwiek nie polubić!). Wybrałam łóżko pod dwoma oknami w najdalszym kącie pokoju, a Danka – równoległe łóżko obok. Na szczęście było dość miejsca pod łóżkami na nasze walizy. Natomiast na szafy nie bardzo można było liczyć. Powiesiłyśmy tam tylko nasze zimowe palta i parę sukienek.



Budynek naszego *Obszczeżycia*. Czarną ramką zaznaczone są okna naszego pokoju Nr 52. Świetlica była na pierwszym piętrze, w połowie pod naszym pokojem – symetrycznie sześć okien na rogu



Budynek MWTU widziany z okna naszego pokoju w *Obszczeżyciu.* W głębi z prawej – nowe budujące się skrzydło MWTU

W końcu wreszcie, głodni jak lwy, poszliśmy na obiad, dołączając do innych kolegów w restauracji oddalonej o kilka ulic od Akademika. Poznaliśmy wtedy większą część polskich studentów MWTU. Na drugim roku studiowała jedyna jak dotychczas Polka, Joanna, która ucieszyła się bardzo, że dwie następne dziew-

czyny dołączyły do grupy. Nie dlatego, że brakowało kobiet na uczelni technicznej, wręcz przeciwnie, studentek była prawie połowa! Ten fakt trochę odzwierciedlał sytuację, do której mieszkańcy ZSRR zostali zmuszeni w czasie wojny. Powołani do wojska mężczyźni bardzo często już z tej wojny nie wracali. Pozostały wszędzie same kobiety, które musiały wykonywać wszystkie, najcięższe nawet prace. Wielokrotnie potem dziwiłam się przyglądając się przez okno pracom przy budowie nowego skrzydła uczelni: widziałam same okutane chustami „*babuszki*" noszące i układające cegły, pchające ciężkie taczki, balansujące na wysokich rusztowaniach. „Równouprawnienie do pracy" było tam wymuszone wojną, ale z braku mężczyzn przyjęło się i istniało później, jako rzecz naturalna. Natomiast na pozycjach wyższych, kierowniczych – kobiet było niewiele.

Nowo poznani polscy koledzy od razu wydali mi się sympatyczni, weseli i zgrani. Studiowali na wszystkich latach od 2-go do 5-go, na różnych wydziałach MWTU, jeden już po zaliczeniu 5-go roku robił pracę magisterską (Gienek), a dwóch było na „aspiranturze", czyli robili doktoraty. Poznałam wtedy mojego przyszłego męża, ale nie on wcale mi się wtedy najbardziej podobał. Było dwóch innych, na których zwróciłam baczniejszą uwagę…

Część naszych kolegów mieszkała w innym Akademiku, dość daleko, o godzinę drogi od uczelni. My przynajmniej mieliśmy uczelnię tuż tuż, co było bardzo wygodne, bo nawet w zimie nie trzeba było ubierać się w ciężkie palta, które potem trzeba by było zostawiać w szatni uczelni, wyczekawszy się w długich kolejkach. Narzucało się na siebie dodatkowy sweter albo wełnianą chustę i biegło się przez ulicę do budki strażnika i dalej do gmachów MWTU. Strażnicy stojący w budkach przy wejściu na kampus i sprawdzający dokładnie nasze przepustki byli wyjątkowo obowiązkowi i na ogół bardzo niesympatyczni. Należeli niewątpliwie do następcy wszechpoężnej i bez poczucia humoru organizacji NKWD (*Narodnyj Komissariat Wnutrennich Dieł*), już właściwie wtedy zmienionej na MWD (*Ministerstwo Wnutriennych Dieł*), a w rok później przekształconego w KGB (*Komitet Gosudarstvennoj Bezopastnosti*).

Tego pierwszego dnia w Moskwie, po całym dniu „poszczenia", obiad wydał się nam wspaniały, jeszcze do tego zakrapiany wódką „*Stoliczną*". Dobrze, że miałam przedtem niejaką wstępną zaprawę w piciu alkoholu, gdy przyjmowaliśmy gości w domu, więc znałam swój limit, bo koledzy oczywiście byli bardzo szarmanccy w napełnianiu kieliszków.

Już nazajutrz po naszym z Danką wstępnym zagospodarowaniu się w pokoju i spędzeniu w nim pierwszej, jedynej cichej i spokojnej nocy, wprowadziło się do niego pozostałe osiem koleżanek – dwie Chinki oraz sześć obywatelek ZSRR z różnych republik. Te ostatnie czuły się u siebie w domu, ale starały się być miłe i dość chętnie pomagały nam, szczególnie w sprawach językowych. Później okazało się, że te wszystkie radzieckie dziewczyny miały swoje przyjaciółki, które bardzo często przebywały w naszym pokoju i nocowały razem z nimi, bo miały daleko do domu, tak, że praktycznie mieszkało w tym pokoju nie 10 osób, lecz 14, 15…, co potęgowało niesamowicie hałas, nieporządek i niemożliwość nauki, a nawet odpoczynku.

Raz na tydzień po wszystkich pokojach w Akademiku chodziły komisje sanitarne, sprawdzające czystość pokoi, która była oceniana w skali szkolnej – od piątek do dwój. Wygrywający w danym semestrze pokój dostawał na następny semestr telewizor do pokoju (był to drugi telewizor Akademika; pierwszy znajdował się na stałe w świetlicy). Nasz pokój notorycznie otrzymywał dwóje i nikt tym się nie przejmował. Może tylko dwa razy w ciągu roku wyszorowałyśmy wodą z mydłem drewnianą podłogę, zapastowałyśmy ją i wyfroterowałyśmy. Ciężka to była robota, która tylko nieco i na krótko poprawiała sprawy porządku w ciągu następnych kilku dni, bo nikt nie miał ani za wiele czasu ani ochoty na sprzątanie w tym wielkim ciągłym młynie.

Wkrótce okazało się też, że jedna z naszych radzieckich współmieszkanek, Nina, jest nie tylko dużą awanturnicą, ale również złodziejką. W pewnym czasie zaczęły ginąć różne przedmioty i w szczególności – pieniądze (mnie „wyparowało" z walizki zakamuflowane tam 300 rubli). Gdy wreszcie w czasie nieobecności Niny moje współlokatorki przeprowadziły rewizję jej walizek i poznajdowały swoje zaginione rzeczy, to zrobił się w Obszczeżyciu ogromny raban. W rezultacie, po długich procesach Ninę nie tylko wyrzucili z Uczelni i z Akademika, ale również z Komsomołu! Na miejsce Niny wprowadziła się do pokoju nowa miła Rosjanka. Od tego momentu było nieco lepiej, atmosfera w naszym pokoju znacznie się poprawiła.

Muszę jednak przyznać, że to wszystko co skonfrontowałam i przeżyłam w ciągu pierwszego półrocza pobytu w Moskwie było jakby niezmiernie intensywną „terapią szokową". Szok był na każdym kroku. A

terapia – wewnętrzna. Wymuszana okolicznościami. Uczyłam się tolerować to co było i działo się wokół, wykonywać narzucone obowiązki, to znaczy uczyć się i odrabiać nawał zadań oraz cieszyć się w dwójnasób zdarzeniami przyjemnymi.

Wykłady zaczęły się już 1-go września. Żadne mowy inauguracyjne roku szkolnego na uczelni nie istniały. Program zajęć był niesamowicie przeładowany. Mieliśmy codziennie 6 lub 8, a jednego dnia aż 10 godzin 2-godzinnych wykładów, laboratoriów i ćwiczeń, z wyjątkiem niedziel. Trzy dni w tygodniu zajęcia odbywały się rano, od godziny 8.30, trzy pozostałe – po południu aż do 10.30 wieczorem. Dzień praktycznie kończył się o północy. Nie istniało wiele książek ani skryptów, regułą było robienie notatek w oddzielnych zeszytach na wykładach i ćwiczeniach. Zeszyty te stawały się później jedyną pomocą w przygotowywaniu się do egzaminów semestralnych. Moje pierwsze dni notowania wykładów były bardzo trudne, bo niewiele rozumiałam, ale od początku starałam się pisać *bukwami*, nawet te nieznane słowa z dość „luźną" ortografią. Pisałam już dosyć szybko. Matematyka i Geometria Wykreślna były najlepsze, bo professorowie dużo pisali i rysowali kredą na tablicy. Najgorsze były wykłady z marksizmu. Już nie mówąc o ich treści, która mnie wogóle nie interesowała. A w ciągu semestru trzeba było studiować i „konspektować", czyli pisać streszczenia, wielu oryginalnych klasycznych trudnych prac Lenina, jak „Co robić", „Materializm i empiriokrytycyzm". Trzeba przyznać zresztą, że był to najszybszy i najefektywniejszy kurs języka rosyjskiego. Gdy z jakichś przyczyn nie było się na wykładzie – przepisywało się notatki z tego wykładu z zeszytów kolegów do własnego zeszytu. Razem z Danką nauczyłyśmy się przychodzić na wszystkie wykłady dostatecznie wcześnie i siadać w pierwszych ławkach sal wykładowych, aby lepiej widzieć i słyszeć. Profesorowie znali już nas i zwracali się do nas żartobliwie „*stiudenty demokraty*".

Nauka w naszym pokoju była zupełnie niemożliwa – trwał ciągły rozgardziasz i hałas gadających kilkunastu osób, grało lub gadało też radio i nie sposób było skoncentrować się na czymkolwiek. Próbowałam uczyć się w ogromnej czytelni Biblioteki MWTU. Również nie było tam spokoju do pracy, ciągle studenci kręcili się dookoła, rozmawiali, rozpraszali uwagę. Wreszcie znalazłam dobre miejsce do nauki – bibliotekę i czytelnię Marksizmu i Leninizmu. Była ona dość mrocznym, niedużym pokojem, a więc nie więcej niż 30 studentów w niej się mieściło. Podłoga czytelni była wysłana dywanem, który dość skutecznie tłumił hałas i czytelnia ta miała niewielkie pojedyńcze stoliki, każdy zaopatrzony w lampę! To razem tworzyło dobrą izolację wizualną i akustyczną. Otwierano ową bibliotekę rano o 9-tej, więc trzeba było dotrzeć tam na parę minut wcześniej, by być w pierwszej grupie do zajęcia stolika. Potem, po rozłożeniu swoich rzeczy na tym stoliku podchodziło się do pulpitu bibliotekarki i dla niepoznaki prosiło się o jakąś tam książkę Lenina, którą następnie cały czas trzymało się otwartą na stoliku, ucząc się czegoś zupełnie innego. W ciągu semestru trzeba było chodzić na zajęcia rano lub po południu, więc w tej bibliotece można było pouczyć się tylko po kilka godzin dziennie. Ale w czasie sesji egzaminacyjnej siedziałam tam ucząc się niekiedy od 9-ej do 6-ej wieczorem, z jakąś drobną przerwą na zjedzenie kanapki.

Wrótce dowiedzieliśmy się jak studenci, szczerze sfrustrowani ilością pracy, rozszyfrowują skrót uczelni MWTU: „*Mogiła Wyryta Trudami Uczonych*" (Grób wykopany pracami uczonych), „*My Was Tut Umriom*" (My was tutaj pogrzebiemy), „*Moszcznymi Wchodim, Toższymi Ujdiom*" (Potężnymi wchodzimy, chudymi będziemy wychodzić).

Ćwiczenia i zajęcia laboratoryjne były dużo ciekawsze i bardziej zrozumiałe niż wykłady. Wkrótce zaczęły się ćwiczenia na prawdziwych maszynach – tokarkach, frezarkach, odlewanie żelaznych części, kucie w kuźni, spawanie elektryczne i gazowe. Było to bardzo ciekawe i dla mnie zupełnie nowe. Od razu też zadano nam wykonanie w domu rysunków technicznych, najwpierw ołówkiem, potem tuszem, na wielkim arkuszu brystolu formatu A4. Trzy takie duże arkusze rysunków trzeba było zaliczyć w semestrze. Była to dla mnie też nowa dziedzina, ale polubiłam ją, bo zawsze lubiłam rysować. Trzeba się było jednak szybko nauczyć ścisłego rysowania i rosyjskiego pisma technicznego. Na szczęście miałyśmy z Danką zawsze ogromną pomoc ze strony naszych polskich starszych kolegów. Nauczyli nas od razu jak prawidłowo używać piórek kreślarskich, jak się posługiwać tuszem oraz jak żyletką ścinać powierzchnię brystolu, gdy zrobiło się tuszem jakiś błąd. Arkusze brystolu przypinało się do deski kreślarskiej i pracowało się nad rysunkami na stole, lub raczej najczęściej na łóżku, klęcząc obok łóżka, bo stołów nie starczało; było ich tylko dwa i to do wszelkich celów. Po pracy kreślarskiej brystol na desce pokrywało się arkuszem gazety, przypinając go pineskami i chowało się deskę za łóżkiem do następnego czasu dalszego rysowania.

Mówiąc o gazetach – rosyjskich gazet wogóle nie można było dostać. Codzienne gazety można tylko było przeczytać w oszklonych gablotach ustawionych na ulicach i placach. Ale polska grupa już przed rokiem zdecydowała się zaprenumerować Trybunę Ludu z Polski, jak również kilka czasopism: Przekrój, Świat i Szpilki. Wszyscy musieli płacić za tą prenumeratę, ale korzyści z posiadania codziennych gazet daleko przekraczały przyjemność czytania polskich wiadomości (– …Co nowego w gazecie? – ….Data. –). Gazety przedstawiały sobą cenny, bo jedyny dostępny… PAPIER. Papier do wszelkich celów. W tym – i do celów „toaletowych".

Mówiąc na ten wstydliwy temat, trzeba powiedzieć więcej o tak zwanych sanitariatach w Akademiku. Nasz Akademik miał trzy piętra i po blisko 50 pokoi na piętrze, zamieszkałych przez około 800 studentów. Na parterze znajdowała się stołówka. Jedno piętro zajmowały studentki, dwa pozostałe – studenci. Na każdym piętrze była jedna łazienka składająca się z 8-miu umywalek z zimną wodą i ubikacji o 8-miu kabinkach wyposażonych w porcelanowe sedesy. Sedesy wyglądały typowo, ale nie miały desek klozetowych, natomiast wokół nich był umocowany na stałe metalowy podest z dwoma miejscami na stopy do włażenia nań i kucania nad sedesem. No cóż. Przeżyło się wojnę, powojenne tułaczki, widziało się niejedno. I nie było się jeszcze wtedy zdemoralizowanymi luksusami, aczkolwiek w naszym mieszkaniu w Bydgoszczy, jak również w Warszawie przed wojną, aż do czasu wygnania nas po Powstaniu Warszawskim, łazienki były standartowo nowocześnie wyposażone. Ale i tak było dobrze, że istniała w tym Akademiku bieżąca woda! W każdej kabince stał otwarty kubeł na śmiecie; do klozetów nie wolno było niczego wrzucać. W tych „śmieciach" najczęściej widywało się skrawki polskiej gazety, Trubuny Ludu – jako jedyny dostępny papier toaletowy! Nasza polska grupa była za to najbardziej szanowaną grupą wśród cudzoziemców w Akademiku.

Kontynuując o sprawach toaletowych – oczywistym stało się, że na codzień można było sobie tylko umyć zęby, ręce i twarz w lodowatej na ogół wodzie, doczekawszy się swojej kolejki do kranu. Tradycją było zbiorowe chodzenie raz na tydzień do *bani*. Dla Rosjan była to również okazja towarzyska, ludzie idący do *bani* byli pozdrawiani „*S lekkim parom*!" (Niech para będzie ci lekka!) Typowa w owych czasach rosyjska *bania* miała dwie duże sale – męską i damską, wyposażone w ławy – drewniane „dywaniki" między ławami na betonowej podłodze, oraz cynowane miski wyglądające jak duże, płaskie kociołki. Klienci *bani*, po uiszczeniu opłaty, zostawiali swe ubrania i torebki czy teczki w szatniach, na wyścielanych białym płótnem ławach i nago udawali się do sali *bani*, zabierając ze sobą tylko swoje własne mydło, ręcznik i ewentualnie szczotkę oraz zwykle – tak jak my – parę drobnych rzeczy do uprania. Sala *bani* zawsze nasycona była ciężką mokrą parą. Około setki bladych gołych ciał snuło się wokół jak duchy we mgle. Znajdowało się wolną miskę, czyli „*tazik*", szorowało się ją mydłem i szczotką (aczkolwiek daleko nie wszyscy to robili), a potem nabierało się do niej gorącej i zimnej wody z licznych kranów wokół. Mycie się polegało na namydleniu się i oblewaniu wodą. Można było to robić siedząc na ławie. Tradycyjnie parę osób przynosiło ze sobą „*wieńki*", czyli rózgi brzozowe do bicia się, co rzeczywiście znacznie poprawiało krążenie krwi. Tradycyjne chodzenie do *bani* było dla Rosjan nie tylko atrakcją towarzyską i zabiegiem higienicznym, lecz i zdrowotnym. Ale my sobie te „bicia" darowaliśmy. Istniało w tej sali kilka pryszniców, lecz kolejki do nich były zwykle duże. Istniały też „separatki", łazienki z wannami, ale od razu nas uprzedzono, że korzystają z nich głównie osoby chore i łatwo złapać tam jakąś chorobę. Owinięci w ręczniki ludzie wracali do chłodnej szatni. Po ubraniu się spotykali się z przyjaciółmi odmiennej płci w dużej wspólnej sali; można tam było wypić herbatę i coś przekąsić. Przed wyjściem ja zwykle stojąc przed lustrem w szatni układałam sobie włosy ówczesnym polskim sposobem przypinając zakręco-



Stary sztych przedstawiający rosyjską *banię*



Typowy "*tazik*" w *bani*



Scenka z tradycyjnej *bani*: Smaganie ciała brzozowymi "*wieńkami*"

ne pasemka szpilkami, co u Rosjanek wokół wzbudzało zdumienie i zaciekawienie. Suszarki nie istniały. Z mokrą głową, zakręconą chustką, wracało się do Akademika.

Niektórzy Rosjanie przynosili do *bani* własne miski, tak że częstym widokiem były osoby maszerujące po ulicach Moskwy z emaliowanymi miskami. Własne miski były miarą bogactwa. Mówiło się: „*On uże obzawiołsja, u niewo sobstwiennyj tazik*" (On już się dorobił, ma własną miskę). Trzeba przyznać, że w tych rosyjskich „*baniach*", można się było napatrzeć na tysiące najrozmaitszych ciał (tej samej płci)— jeżeli ktoś to lubi. W 10 lat później w Paryżu byłam na przedstawieniu striptizowym. Nie zrobiło na mnie żadnego pozytywnego wrażenia, wręcz przeciwnie. Widziałam dużo więcej i ciekawiej w *baniach*!!

Robienie prania nie było łatwą rzeczą. Drobne przepierki robiło się w *baniach*, albo w zimnej wodzie pod kranami w Akademiku, a potem wieszało się na poręczach łóżka by wysychały. Do większego prania, jak na przykład ręczników lub sukienek, trzeba było wypożyczyć w administracji miskę oraz garnek do podgrzania wody w kuchni (na każdym piętrze Akademiku było jedno pomieszczenie z kilkoma kuchenkami gazowymi i zlewem). Duży kłopot był z suszeniem większych sztuk – w pokoju nie było miejsca, a zresztą kapanie wody z niezbyt dobrze wykręconych sztuk było źle widziane. Pamiętam, że robiło się to jakoś ukradkiem, w ciągu dnia, gdy współ-lokatorki były na zajęciach. Moi koledzy rozwiązywali tę sprawę dość prosto – dawali swoje rzeczy do prania sprzątaczkom, płacąc (po cichu) za usługi. Zarabianie na boku było oficjalnie zabronione (zadaniem sprzątaczek było utrzymanie porządku w świetlicy i na korytarzach). Ja wolałam prać sama, aczkolwiek było to niezwykle trudne. Przynajmniej zaoszczędzałam nieco, by móc potem kupić prezenty i rzeczy, których w Polsce jeszcze wtedy nie było.

Wracam na moment do prenumerowanych przez nas gazet „Trybuny Ludu". Przychodziły one pocztą, bardzo zresztą nieregularnie, z dużym opóźnieniem i często po kilka paczek naraz. Danka i ja, jako nowicjuszki – dostałyśmy zadanie społeczne dystrybuowania tych gazet do pokoi prenumeratorów, czyli wszystkich Polaków. Było to zadanie na ogół przyjemne: wieczorami odwiedzałyśmy kolegów, plotkowałyśmy z nimi, prosiłyśmy o pomoc w jakichś tam sprawach, albo umawialiśmy się na specjalne imprezy. Jedną z takich „imprez" jesiennych było wspólne jedzenie arbuzów. Trzeba dodać, że arbuzy znałam wtedy tylko z przedwojennych opowieści mojej rodziny.

Jedzenie w stołówce na dole było bardzo monotonne, pozbawione jarzyn i owoców. Jedynymi jarzynami była kapusta, buraki i kartofle, a świeżych owoców wogóle nie bywało. Jesienią pojawiały się na ulicach Moskwy wózki z arbuzami przywożonymi z południa ZSRR. Natychmiast ustawiały się przed nimi długie kolejki. Tradycyjnie przed sprzedażą każdego arbuza, sprzedawczynie przy wózku (zawsze kobiety!) obejmowały wybrany wielki arbuz lewą ręką przytulając go do obfitej (na ogół) piersi, a prawą ręką wbijały w arbuz wielki i ostry nóż. Najwpierw trzy szybkie dość głębokie nacięcia w niewielkim trójkącie, a potem wbity w środek tego trójkąta nóż wyciągał z arbuza klin, który sprzedawczyni pokazywała klientowi, w celu aprobaty czy się kolor podoba (krwisto-czerwone były najlepsze). Jeżeli się podobał, to klin wędrował spowrotem do arbuza, a cały arbuz przenoszony był na wagę. Arbuzy były względnie tanie, biorąc pod uwagę, że były praktycznie jedynymi dostępnymi świeżymi owocami w Moskwie i to tylko wczesną jesienią. Gdy któryś z naszych kolegów dumnie wrócił do Akademika z wielkim arbuzem, natychmiast zbierała się grupa polska w jednym z pokoi. Zdejmowało się deski kreślarskie i inne przedmioty ze stołu, a stół pokrywało się podwójną warstwą Trybun Ludu. Arbuz był ćwiartowany i wszyscy wokół stołu zajadali się, wypluwając pestki na Trybunę (absolutnie bez żadnych politycznych aluzji, nie te czasy!). Trzeba było zjeść wszystko od razu, bo nie było żadnych możliwości przechowywania jedzenia. Po uczcie zwijało się gazety razem z pestkami i wygryzionymi kawałkami skóry arbuza i całość wędrowała do śmieci. Zwykle po uczcie śpiewaliśmy piosenki. Zarówno polskie jak i rosyjskie. Tak jak nie znałam rosyjskiego języka, bo nie miałam tej klasy, tak w szkole średniej poznałam wiele rosyjskich piosenek, bo trzeba było wielokrotnie występować na różnych akademiach „ku czci". A już na akademiach z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej obowiązkowo trzeba było śpiewać po rosyjsku. Bardzo zresztą lubiłam śpiewać. Wszyscy polscy koledzy w Moskwie też byli rozśpiewani, nie mówiąc już o Rosjaninach, którzy uwielbiali śpiewy i na ogół mieli bardzo dobre głosy. Nauczyłam się wielu nowych rosyjskich piosenek. Słowa piosenek zapisywałam w specjalnym zeszycie. Pamiętam, że gdy po niecałym roku wróciłam do Polski na wakacje i pojechałam z Mamą nad Bałtyk na odpoczynek, to całe jedno deszczowe popołudnie spędziłam na śpiewaniu Mamie nowopoznanych piosenek rosyjskich (Mama znała dobrze ten język).

Nasza akademicka stołówka na parterze była czynna od godziny 11-ej do 6-ej po południu. Jeżeli zajęcia na uczelni akurat pasowały, to chodziło się do stołówki dwa razy dziennie. Jeżeli nie – to raz, a potem trzeba było coś samemu kombinować do zjedzenia wieczorem. Nie było to łatwe, bo żadnych lodówek, ani nawet za wiele miejsca na przechowanie jedzenia nie było. Ponadto, jeżeli się jakieś jedzenie kupiło i natychmiast nie zjadło pozostawiając je w szafce, to miało ono tendencje „wyparowywania". Niestety. To była ciągle niezaspokojona Rosja. Wszystkiego było brak. A z drugiej strony uczono przecież, że co moje to twoje… Jednym słowem – kwitły kradzieże. Już w pierwszym tygodniu pobytu w Moskwie jadąc metrem ukradli mi z torebki portmonetkę z pieniędzmi. Po kilku miesiącach znikła z szafy w naszym pokoju moja ulubiona sukienka, kupiona na „ciuchach" w Warszawie. Gdy napisałam Mamie o tej sukience, Mama interweniowała w Ministerstwie, a Ministerstwo z kolei poprzez Ambasadę skontaktowało się z dyrekcją MWTU. Była wielka „międzynarodowa" afera o kradzież tej sukienki, dochodzenia, przesłuchania, ale oczywiście sukienki nie znaleziono. Za to później wypłacono mi kilkadziesiąt rubli, w charakterze rekompensaty, za które kupiłam materiał na inną już sukienkę, którą później krawcowa w Bydgoszczy uszyła mi.

Złodziei i kieszonkowców było w Moskwie mnóstwo. Było to jakby „normalne" zjawisko społeczne. Złodzieje najczęściej prosperowali w zatłoczonym metrze i w sklepach. Byłam raz świadkiem, gdy w dużym i zatłoczonym sklepie spożywczym starszy i mocno zniszczony człowiek w poszarpanym ubraniu wszedł na krzesło i zwrócił się do ludzi z patetyczną mową, że był w wojsku, bił się za ojczyznę, a potem go wysłali na Sybir, skąd został zwolniony; przyszedł do Moskwy na piechotę, że był cały czas bez kopiejki, bo nikt nie chciał go przyjąć do pracy, i że prosi o datki, bo inaczej będzie musiał kraść, a jest wierzącym chrześcijaninem. Parę osób coś tam zdążyło mu wręczyć, zanim nadbiegł wezwany przez obsługę sklepu milicjant. W istocie, po śmierci Stalina w marcu 1953 roku, z licznych obozów w ZSRR zaczęto wypuszczać więźniów, ale nic im nie dawano na drogę. Fale tych zdziczałych już w obozach, wygłodzonych byłych więźniów, którym nikt nie chciał dać ani pracy ani zarobku, dochodziły do kolejnych miast po drodze i wreszcie docierały do Moskwy. Jednym z większych i zasobniejszych miast na drodze z Sybiru na zachód był Kazań. Jeden z moich polskich kolegów studiował tam na Uniwersytecie. Opowiadał niesamowite historie, już nie tylko o kradzieżach, ale o bandytyźmie w tym mieście, bandytyźmie do tego stopnia, że w końcu po interwencjach Ambasad, wszyscy studenci zagraniczni studiujący na uczelniach w Kazaniu zostali przeniesieni do innych uczelni w mniej zagrożonych miastach ZSRR. Zlikwidowali więc w ten sposób tylko zagranicznych świadków realiów reżymu, a problemu nie rozwiązali.

W Moskwie na ulicach widziało się wielu siedzących na chodniku żebraków, najczęściej kalek, obnażających swoje kalectwa, ubranych w poszarpane mundury wojskowe: weterani wojny, weterani gułagów.

Nigdy nie wierzyłam w komunistyczną, a w szczególności w sowiecką propagandę, przedstawianą z uporem maniaków w radosnych radzieckich filmach i wciskaną nam przez polskie media i szkołę. Dobrze, że nie wierzyłam. Ominęły mnie rozczarowania.

Przyjechałam do Moskwy w pół roku po śmieci Stalina. Koleżanki-Rosjanki w naszym pokoju wciąż go opłakiwały. W ciągu kilku dni po jego śmierci tyle ludzi chciało Stalina zobaczyć po raz ostatni w trumnie wystawionej w Sali Kolumnowej, tak że niesamowite wielotysięczne tłumy nagromadziły się na ulicach i placach wokół. Milicjanci nie byli w stanie utrzymania porządku. W rezultacie setki ludzi zostało zgniecionych i stratowanych wtedy w tłumie. Jedna z tych moich koleżanek z pokoju była właśnie ofiarą: podeptali ją, i w szczególności podeptali jej głowę. Od tego czasu miała poważne zaburzenia umysłowe. Ale starała się kontynuować studia, aczkolwiek zawsze była trochę „stuknięta".

W naszym Akademiku mieszkali studenci ze wszystkich krajów Demoludów. Grupa studiujących Chińczyków była największa. Każdy chiński student został całkowicie wyposażony przez rząd na 5 i pół lat pobytu w ZSRR; Chińczykom nie wolno było jeździć na wakacje do domu. Nasze dwie Chinki władowały się do pokoju z czterema wielkimi kuframi, które zawierały pełną chińską „wyprawkę". Kufry nie mieściły się pod łóżkami – trzeba było znaleźć drewniane klocki do podparcia nóg łóżek, by je podwyższyć. Potem często nasze Chinki otwierały kufry, wyciągały jakieś przedmioty i ogromnie dziwiły się do czego to one mogą służyć… Było w tych kufrach dużo pięknych jedwabnych haftowanych ubrań, które potem nosiły w czasie świąt. Były również instrumenty muzyczne, stroje, i ekwipunek związany z tradycyjnymi tańcami chińskimi. Na różnych rocznicowych akademiach „ku czci" nasze Chinki tańczyły na scenie. Zapamiętałam szczególnie piękny taniec z wstęgami: trzymając w rękach pałeczki, do których przymocowane były długie jed-

wabne kolorowe wstęgi, Chinki tańcząc wprawiały je w ruch, tak, że cała scena w szybkim tempie wirowała.

Wiele lat później, w 1992 roku byłam służbowo w Chinach. Zaproszono wtedy Dona Bently (właściciela firmy, w której pracowałam w USA) i mnie na oficjalny bankiet, fundowany przez Ministerstwo Energetyki, które sponsorowało naszą podróż (prowadziliśmy w Chinach wykłady na szeregu seminariów w kilku uczelniach wyższych). Sala bankietowa znajdowała się na specjalnym zamkniętym terenie rządowym, blisko byłej rezydencji Mao Tse-Tung'a w Pekinie. Na ogół takie bankiety były zawsze okropnie nudne i sztywne, bo większość chińskich oficieli nie znało angielskiego, a tłumacz mógł tylko pomagać jednej osobie. Tymczasem okazało się, że na tym bankiecie posadzili mnie między dwoma Chińczykami, wysokimi rangą urzędnikami Ministerstwa, z których jeden od razu zwrócił się do mnie po polsku, a drugi – po rosyjsku! Pierwszy z nich – studiował w Gdańsku na Politechnice, a drugi – w moskiewskim MWTU i nawet mieszkał w tym samym Akademiku co ja! Mieliśmy więc wspólne języki i wiele tematów do przedyskutowania. Ten ostatni Chińczyk znał też dobrze jedną z Chinek, Liu Ai-Szyn, która mieszkała z nami w tym nieszczęsnym zatłoczonym pokoju; opowiadał mi co ona robi i co się z nią dzieje oraz obiecał mnie z nią skontaktować. Niestety, widocznie mu nie pozwolono bym, jako już Amerykanka, z nią się spotkała. W Chinach trwa ciągle komunizm i pewnie wszystkie związane z nim ograniczenia. Ale ten bankiet dowodził również, jak dokładnie Chińczycy przestudiowali nasze życiorysy…



Bankiet w Pekinie w 1992 roku

W naszym Akademiku MWTU jeden duży pokój na pierwszym piętrze był świetlicą. Stał w niej jeden z dwóch telewizorów Akademika – w owych czasach dla nas duża nowość, ale nie był on najlepszej jakości i praktycznie nigdy niczego na jego malutkim ekranie nie oglądałam. Natomiast wielokrotnie uczestniczyłam w sobotnich i niedzielnych tańcach w tej świetlicy, jako że tańczyć bardzo lubiłam. Rosjanie tańczyli często specjalne figurowe „tańce balowe", które były popularne w Europie w 19-tym wieku, tańce ze specjalnymi sekwencjami figur. Nauczyli mnie wtedy kilku takich tańców. W świetlicy stał również fotepian, na którym grywałam od czasu do czasu, a raz w tej świetlicy znaleźliśmy całą perkusję, pozostawioną przez muzyków z poprzedniego wieczora. Jeden z naszych polskich kolegów, Lońka, przyniósł swoją gitarę, ja przy fortepianie, paru kolegow przy perkusji i urządziliśmy wielki koncert jazzowy!

Grałam na tym fortepianie również jako akompaniator, gdy przygotowywaliśmy się do występów na scenie w czasie kolejnej akademii „ku czci". Na takie akademie, które odbywały się prawie raz na miesiąc, przygotowywaliśmy na ogół śpiewy „chórkowe". Śpiewaliśmy różne polskie piosenki. A raz ja deklamowałam też wiersz Tuwima „Lokomotywa", który ma wspaniały rym i rytm, zrozumiały dla cudzoziemców. (Gdy jednak wiele lat później, będąc już w USA zadeklamowałam ten wiersz Amerykanom, nie mówiąc zawczasu jaki miał tytuł, to odczytali w nim nie pociąg, lecz galopujące po preriach konie… Pociągi już dawno znikły z typowego amerykańskiego pejzażu, a kowbojske filmy ukształtowały Amerykanom wyobraźnię…)



Tym razem śpiewa na scenie „trio" – Zbyszek, Lońka i Kazio z moim akompaniamentem



Nasz chór śpiewający na akademii. Od lewej: Zbyszek, Janek, Jurek, Pawel, Joanna,Gienek, Kazik, Lońka

W ramach pracy społecznej, która była obowiązkowym elementem zarówno w szkole średniej jak i na studiach, znów więc zamiast polityki, wybrałam dziedzinę artystyczną: występy – głównie śpiewy chóralne oraz tańce. Między innymi nauczyłam moich kolegów i koleżanki tańczyć mazura i krakowiaka. Była to bardzo żmudna praca…, ale jakoś,

przymykając oczy, poszło. Stroje wypożyczyła nam Polska Ambasada. Kilka razy występowaliśmy przy różnych okazjach na naszej uczelni lub na uroczystościach organizowanych przez Polską Ambasadę, raz nawet w słynnej Sali Kolumnowej i raz w kołchozie pod Moskwą, gdzie zaproszono wielu zagranicznych studentów MWTU. Po części oficjalnej i artystycznej, pracownicy tego wyraźnie „specjalnego" pokazowego kołchozu oprowadzili nas po całym swoim „wzorowym", gospodarstwie i poczęstowali obiadem, co zostało mile skwitowane.



Kolejny występ na akademii "ku czci". Od lewej Zbyszek, Joanna, Jurek, Danka, ja, Lońka i Kazio. Akompaniuje zaprzyjaźniony Gruzin

Dzień w Akademiku kończył się o północy hymnem ZSRR nadawanym z głośnika (jeszcze wtedy śpiewanym, z akompaniamentem orkiestry). Każdy pokój był wyposażony w głośnik radiowy, który przez cały dzień był włączony. Między północą a 6-tą rano audycji szczęśliwie nie było. Nauczyłam się codziennie tuż po północy wyciągać z kontaktu wtyczkę głośnika, by nas nie budził o 6-ej rano, znów śpiewanym hymnem. Wstawało się dopiero około 7.30, by zdążyć na ranne wykłady, albo nawet nieco później, gdy wykłady odbywały się po południu.

Wspomniałam, że hymn ZSRR był „jeszcze śpiewany". Później już tylko grano muzykę hymnu, bo pierwsze jego słowa „*Sojuz nieruszimyj republik swobodnych splatiła na wieki wielikaja Ruś*" (Nienaruszalny związek wolnych republik zespoliła na wieki wiel-ka Rosja) okazały się „politycznie niepoprawne". Kilka republik ZSRR protestowało. Nieco później pojawił się dowcip z serii „pytań do radia Erywań": Która z „pieśni bez słów" jest najbardziej popularna?… Odpowiedź była – hymn ZSRR.

Po rannych zajęciach na uczelni wraz Danką często chodziłyśmy po naszej dzielnicy, robiłyśmy wstępne rozeznanie terenu, oglądałyśmy wystawy i wstępowałyśmy do sklepów, jak również chodziłyśmy na targ. Zabierałyśmy zawsze ze sobą siatki i nasze gazety, jako materiał do pakowania, na ewentualne zakupy. Siatki nazywane były „awośkami" od powiedzonka „a woś coś się uda kupić"… Wielokrotnie nie znałyśmy nazw przedmiotów, które chciałyśmy zobaczyć bliżej, lub ewentualnie kupić. Rozmowy w sklepach czy na targu zaczynały się od „*Kak eto nazywajetsja*?" (Jak to się nazywa?) Wielokrotnie „to" nazywało się bardzo podobnie do polskiej nazwy. W ten sposób codziennie bogaciłyśmy nasz rosyjski język.

Miałyśmy zresztą też prawie-że indywidualne lektoraty z rosyjskiego na uczelni, prowadzone przez miłego starszego pana. Do naszej trójki Polaków, Danki, Staszka i mnie, na ten lektorat dołączył Czech, Janek, który również uczył się z nami w tej samej grupie studenckiej. W „grupach studenckich" było zwykle około 30 studentów (w tym jeden „przewodniczący grupy", prawdopodobnie wyznaczony przez uczelnię i jeden taki co donosił), a wykładów słuchało kilka grup razem w dużych salach.

Niewątpliwie, jako cudzoziemcy, byliśmy bardzo pilnie śledzeni. Byśmy jakby „znaczonymi atomami", które łatwo się identyfikuje i wyłapuje w tłumie innych „atomów". Ale fakt ten po prostu ignorowaliśmy i nikt się tym nie przejmował, aczkolwiek ja jak zwykle starałam się pilnować i w żadnym wypadku nie wchodzić w żadne „grząskie" tematy rozmów.

Na niewielkim targu oddalonym o kilka ulic od Akademika można było kupić jarzyny i owoce – jabłka, winogrona i arbuzy, a później w zimie i wiosną już tylko jabłka, oraz różne owocowe lub jarzynowe przetwory, które w państwowych sklepach nie istniały. Ceny ich były dosyć wysokie, ale uważaliśmy, że jesteśmy dostatecznie bogaci, by raz na dwa tygodnie zjeść coś specjalnego. Dobrze, że komunistyczne władze zezwalały na istnienie tych targów – produkty pochodziły z działek przydomowych – mimo, że tchnęło to konsekwentnie zwalczaną „prywatną własnością".

Po jakieś inne specjalne zakupy często jeździliśmy metrem na ulicę Arbat oraz ulicę Gorkiego (obecnie Twerska, tak jak przed rewolucją), gdzie były większe, lepiej zaopatrzone sklepy oraz dobre restauracje.

W sklepach spożywczych często widziało się kręcących się mężczyzn zaczepiających innych mężczyzn szepcząc: – *Tawariszcz, nie pretendujete-li na czetwiertinku*? (Towarzyszu, czy nie mielibyście ochoty na ćwiarteczkę?) – Rzecz była w tym, że wódkę sprzedawano w butelkach pół-litrowych, ćwiartek nie było. Gdy „*tawariszcz*", który świetnie wiedział o co chodzi zgadzał się, wtedy składali się na kupno pół litra. Potem szli razem do najbliższej bramy odbijali korek, paznokciem wyznaczali połowę i najwpierw jeden wy-

pijał połowę, potem drugi wykańczał butelkę. Co robili dalej – historia milczy. Aczkolwiek widywało się wokół mnóstwo pijanych – zataczających się, albo wręcz zamroczonych i śpiących na ulicach, pod ścianami domów, w bramach… Wódki i wszelkich innych alkoholi nigdy w sklepach i restauracjach nie brakło.

Na ulicach Moskwy spotykałyśmy niekiedy kobiety w dość śmiesznie i dziwacznie wyglądających kapeluszach, najpewniej kapeluszach jeszcze z lat 20-tych. Jakieś bogato przystrajane kolumny, rondle, piramidy – kapelusze, których od czasów wojny w Polsce nie widywało się. Większość jednak kobiet zwykle nosiła na głowach szaro-bure chustki.

Na moje 18-ste urodziny 10 października 1953 roku koledzy zrobili mi bardzo miłą niespodziankę: już wcześnie z rana przyszli z życzeniami i przynieśli kilka miłych prezentów od całej polskiej grupy, między innymi wielkie pudło z perfumami, kremami, pudrem i szminkami, że niby już jestem pełnoletnia i mam prawo się malować. Potem jednak gremialnie mi tego procederu zabronili. W ciągu dnia, po wykładach moja rosyjska grupa studencka również zupełnie nieoczekiwanie wręczyła mi prezenty – kartkę urodzinową podpisaną przez wszystkich studentów grupy, dwie porcelanowe filiżanki ze spodkami oraz ogromne pudło czekoladek. Było to zupełnie nieoczekiwane i bardzo miłe. Wieczorem cała Polonia zorganizowała wielki bal – dużą wyżerkę zakrapianą winem, zakończoną tortem z 18 zapałkami – z braku świeczek. Później były tańce przy muzyce z płyt – wszystko w jednym z pokoi naszych chłopaków, wypraszając z tej okazji mieszkających tam Rosjan. Ci ostatni wynieśli się spać do pokoi innych Polaków, bo nasza impreza trwała aż do 3-ciej rano. W czasie tej zabawy dwukrotnie pukał do pokoju listonosz, przynosząc najwpierw nadaną do mnie w Moskwie depeszę „*Pozdrawliaju z dniem raždienia, Poklonnik*" (Pozdrawiam z okazji urodzin, Wielbiciel) oraz kartkę z Warszawy z życzeniami i dość intrygującym tekstem, jakby od kogoś bardzo zakochanego. Od razu jednak rozszyfrowałam, że były to dowcipy moich kolegów, ale nie złośliwe, nawet dość przyjemne i wszyscy mieli dobrą zabawę. Musieli się oni solidnie nabiedzić, by podrobić kartkę z Polski (znaczek, stemple, w tym również typowy stempel „*MIEŻDUNARODNOJE*", czyli międzynarodowe).

Jednym słowem moje osiemnaste urodziny zupełnie nieoczekiwanie przeszły wspaniale.



Skrzynki pocztowe

Listy od Mamy przychodziły niezbyt regularnie, ale wszystkie w końcu do mnie docierały (były numerowane, jak się umówiłyśmy). Otrzymywałam też sporo listów od innych członków rodziny, od koleżanek i kolegów, odpisując wszystkim regularnie.

Wczesną wiosną 1954 roku w ciągu jednego tygodnia miałam zupełnie niewytłumaczalny intensywny niepokój o moją Mamę. W końcu dostałam kolejny list od Mamy, w którym nic „strasznego" nie było, ale znów wiedziona intuicją przyjrzałam się dokładniej kopercie: List był wysłany nie z Bydgoszczy, lecz z Warszawy! A w liście żadnej wzmianki o Warszawie nie było. Następnego dnia otrzymałam list od brata, w którym, mimo zabronienia mu przez naszą Mamę informowania mnie o sprawie pisał, że po dużym ataku i krwotoku, u Mamy rozpozano nowotwór szyjki macicy i Mama leży teraz na kuracji radowej w szpitalu Istytutu Radowego w Warszawie. Tak więc i Warszawa i mój zagadkowy niepokój zostały wytłumaczone: telepatyczny odbiór informacji (później kilka razy w życiu zdarzały mi się takie przewidywania, nie tylko na odległość, lecz i w czasie, o czym piszę poniżej). Kuracja w Instytucie Radowym była bardzo skuteczna i po kilku miesiącach Mama wróciła do domu i do pracy.



Godło MWTU niesione na czele naszego pochodu 1-go maja

Święto Pierwszego Maja w Moskwie było zwykle hucznie obchodzone. Odbywała się wielka defilada. Najwpierw wojsko – oficjalnie, w zwartym szyku, a potem cywile, zgrupowani w organizacjach, maszerowali zupełnie na luzie. Początek defilady dla nas, baumanowców zaczynał się koło uczelni wcześnie rano i szliśmy w zupełnie luźnym szyku w kierunku Placu Czerwonego praktycznie pół dnia, śpiewając najrozmaitsze piosenki, rozmawiając z coraz to innymi spotykanymi ludźmi, tańcząc na jezdni, bawiąc się bez przerwy i świętując cały dzień!


Na Placu Czerwonym po pochodzie pierwszomajowym. Od lewej – Jurek, ja, Irina, Danka i Sławek. W tle – kremlowska wieża Spasska

Był to przykład różnicy jak wyglądało to święto w Moskwie i w Polsce. W Polsce sztywne defilady składały się z ludzi poważnych, a raczej naburmuszonych, co odzwierciadlało nietajoną niechęć wszystkich do maszerowania w tym pochodzie. To nigdy nie było „nasze" polskie święto!

Wspomniałam wcześniej, że właśnie w Moskwie „odpoczęłam" od „walki klasowej", zmory moich lat szkolnych. Nikt mnie tam za „wroga klasowego" nie uznawał i nie „rozpracowywał" (przynajmniej ja o tym nie wiedziałam, więc się tym nie martwiłam). Społeczeństwo radzieckie wydawało się już wtedy jednolite, „walka klasowa" nie była widoczna. Ale niestety od czasu do czasu musieliśmy, jak i wszyscy inni polscy studenci w Moskwie uczestniczyć w „otwartych zebraniach partyjnych" z uczestnictwem polskich pracowników konsularnych. Odbywały się one co parę tygodni w dużej sali Domu Radcy Handlowego przy Polskiej Ambasadzie. Ciągle zdarzały się coraz to nowe okazje, by nas wszystkich tam zbierać – a to na omówienie decyzji 9-go Plenum PZPR, a to omówienie 2-go Zjazdu Partii, a to przyjmowanie nowych członków do PZPR. Nienawidziłam tych zebrań, nie tylko dlatego, że zabierało nam całe niedziele – jedyny czas na odpoczynek, rozrywki i często na nadrabianie zaległości uczelnianych – ale głównie dlatego, że właśnie tam w tej sali panowała ta wstrętna atmosfera „walki klasowej".

Pamiętam jak „rozrabiali" naszego przyjaciela Jakuba, który kandydował do PZPR i w końcu go nie przyjęli, bo uznali, że „*nie ma prostego kręgosłupa*". Jakub jako dziecko został złapany przez Niemców i wywieziony do Oświęcimia. Tam Hitlerowcy wykonywali na nim medyczne eksperymenty, które doprowadziły do jego kalectwa: miał, między innymi, trwale uszkodzoną jedną nogę. Stracił też w Oświęcimiu całą rodzinę. Po wyzwoleniu obozu pojechał wraz z kolegami do Belgii, ale wkrótce potem wrócił do Polski. Partyjni „rozrabiacze" na zebraniu w Domu Radcy Handlowego nie mogli Jakubowi wybaczyć, że był w kapitalistycznym kraju. Ta Belgia „popsuła" Jakubowi kręgoslup. Do partii go nie przyjęli.

Wiele lat później Jakub podsumował, że Bóg go wtedy ustrzegł przed tą partią…

Innym razem „rozrabiali" Jurka Hoffmana, wtedy studenta 3-go roku Państwowego Instytutu Filmowego, i późniejszego znanego reżysera. Znałam Jurka dość pobieżnie jeszcze w Bydgoszczy. Był synem lekarza, kolegi Mamy. Rozrabiali go na tym zebraniu partyjnym, bo właśnie był pochodzenia inteligenckiego. I na dodatek studiował reżyserię filmową, czyli delikatną domenę propagandy (przecież sam Lenin kiedyś powiedział, że „komunizm to dyktatura proletariatu, elektryfikacja i KINO"!). Jurek, który był dosyć arogancki, bronił się jak mógł. Przytaczał nie tylko Lenina, ale i przykłady jak to sztuka filmowa poprawiała życie: W którymś tam filmie rosyjskim pokazano kołchoźnicę prowadzącą kombajn zbożowy, a nad jej głową był daszek, przymocowany do kombajnu, aby słońce jej zbytnio nie przypiekało. Jurek dowodził, że od czasu ukazania się tego filmu wszystkie kombajny w kołchozach ZSRR zostały wyekwipowane w daszki. Tak to kultura wpływała na przemysł i usprawniała codzienne życie ludzi pracy!!

Dziś brzmi to jak dowcip, ale w tej sali Domu Radcy Handlowego w owych czasach nikomu do śmiechu nie było. Nienawidziłam tych zebrań. Były zmorą naszych niedziel. Potem nauczyłam się siadania w najciemniejszym kącie z tyłu sali i odrabiałam uczelniane zadania domowe: rozwiązywałam zadania z matematyki albo wytrzymałości materiałów, nie słuchając już wcale co tam ględzą. Na ogół rozwlekle i bez wielkiego sensu omawiało się tam tematy, które najczęściej mnie wogóle nie interesowały ani obchodziły i co ważniejsze – nie musiałam z nich zdawać potem egzaminów. Przypominało się wtedy często świetne powiedzonko Tuwima: „Błogosławiony ten, który nie mając nic do powiedzenia nie obleka tego faktu w słowa"…

Pierwszy, najtrudniejszy z wielu różnych względów dla mnie semestr wreszcie się skończył: zaliczyłam w terminie wszystkie przedmioty, a trzy egzaminy tej sesji – matematykę, geometrię wykreślną i chemię zdałam na piątki. Sama się temu ogromnie dziwiłam (w naszej grupie Polaków było sporo dwój…), ale oczywiście bardzo się cieszyłam. Po sesji mieliśmy dwa tygodnie przerwy semestralnej – wreszcie trochę wakacji!

Moskwa w latach 1953-1955: Zwiedzanie

Już w ciągu pierwszych tygodni pobytu w Moskwie, w tym ogromnym teraz mieście, założonym w 1147 roku przez Księcia Juria Długorękiego, poświęciliśmy na zwiedzanie wszystkie niedziele, które nie zostały zmarnowane na zebrania i obejrzeliśmy wiele najważniejszych miejsc tego wielkiego miasta. Zawsze znajdowali się jacyś chętni polscy koledzy do towarzyszenia nam na wycieczkach. Najwpierw już bodaj drugie-

go dnia pobytu w Moskwie – zwiedziliśmy Plac Czerwony i jego okolice. Ciekawostką jest, że Plac Czewony nie został tak wcale nazwany po rewolucji Październikowej, lecz dużo wcześniej, bo rosyjskie słowo „*krasnyj*" znaczy nie tylko „czerwony", ale również „piękny". Mauzoleum Lenina (i w owym czasie również Stalina) na placu służy jako wielka trybuna, z której przez wiele lat komunistyczni przywódcy (a teraz Putin) przymują defilady w czasie świąt narodowych. Po zachodniej stronie placu, z tyłu za Mauzoleum znajduje się dość ponure ogrodzenie Kremla, czyli warownego zamku. Koło tego muru znajdują się grobowce „zasłużonych ludzi". Ostatnio nazywa się to miejsce „Ogrodami Aleksandrowa". Z dala za murem można było wtedy tylko zobaczyć pozłacane kopulasto-cebulaste wieże soborów i cerkwi Kremla. Na zwiedzanie Kremla wewnątrz trzeba było poczekać.



Pomnik Juri'ego Długorękiego w Moskwie



Plac Czerwony widziany z północy. Po prawej mur Kremla z basztą Spasską, Mauzoleum, a w dali cerkiew Bazylego (Wasyla). Po lewej – GUM



Grób nieznanego żołnierza pod murem kremlowskim w Ogrodach Aleksandrowa



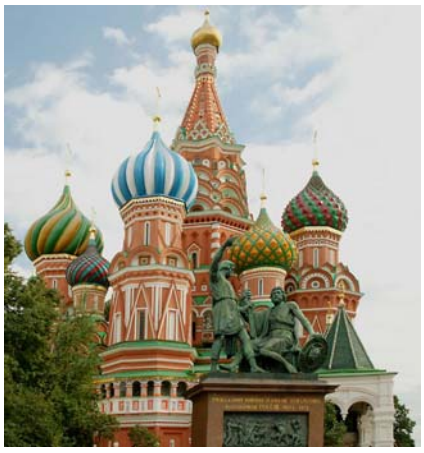
Kreml widziany z drugiej strony rzeki Moskwy. Z prawej – wieża dzwonnicy Iwana Groźnego



Mauzoleum Lenina i Stalina. Z tyłu – Pałac Senatu; obecnie Rezydencja Prezydenta Rosji



Wieże Soboru Błagowieszczańskiego



Cerkiw Błogosławionego Bazylego (Wasyla). Z przodu – pomnik Minina i Pożarskiego

Cerkiew Błogosławionego Bazylego (Wasyla) na południowym krańcu placu Czerwonego jest zadziwiająco pięknym zabytkiem architektonicznym miary światowej. Car rosyjski, Iwan Groźny, który sponsorował powstanie tej cerkwi w latach 1555-61, podobno po zakończeniu budowy kazał wyłupić oczy jej architektowi, Postnik'owi Jakowlew'owi, by już nigdy więcej nie wykonał tak wspaniałego dzieła… Cerkiew została zbudowana aby upamiętnić zagarnięcie miasta Kazania i zwycięstwo Iwana Groźnego nad Tatarami. Pomnik przed cerkwią przedstawia wodzów rosyjskiego pospolitego ruszenia, Kuźmę Minina i Dmitra Pożarskiego, którzy odepchnęli polskich „najeźdźców" na Moskwę w roku 1612… (Obecnie związana z tym zwycięstwem rocznica 2 sierpnia jest Świętem Narodowym Rosji, które zastąpiło rocznicę Rewolucji Październikowej…)

Podobno Stalin w latach 30-ych chciał zburzyć cerkiew Bazylego, bo niby „zasłaniała widok na Plac Czerwony i Mauzoleum Lenina od strony rzeki Moskwy". Ryzykując życie, jeden bardzo odważny współpracownik Stalina wyperswadował mu jakoś tę decyzję. Stalin był znany z krwawego mszczenia się na ludziach, którzy z nim się nie zgadzali…

Wtedy jesienią 1953 roku, gdy zwiedzaliśmy Plac Czerwony, cerkiew Bazylego niestety była otoczona wysokim, parkanem, a rusztowania otaczały jej piękne cebulaste wieże. Niby robiono tam remont, ale ten „remont" dopiero chyba zakończono przed moskiewską Olimpiadą w 1980 roku, lub wręcz na początku lat 1990-tych. Po Rewolucji Październikowej rząd sowiecki szybko zlikwidował religijną tolerancję Rosji, trwającą od stuleci, od czasów cara Piotra I Wielkiego. Natychmiast nabożeństwa w kościołach, świątyniach, synagogach, meczetach, czy buddyjskich datsanach zostały wstrzymane, duchownych zesłano do gułagów, a państwo przejęło majątki i bogactwa religijnych służb. Później większość cerkwi i kościołów w Moskwie i w całym ZSRR została zdewastowana, zrujnowana. Część ich zamieniono na budynki użytkowe, jak warsztaty lub magazyny, albo nawet Domy Kultury z salami do tańca lub innych zabaw. Religia w ZSRR nie istniała. Ludzie głęboko wierzący, uznawani za wariatów, bywali wysyłani do zakładów psychiatrycznych, pełniących rolę „obozów koncentracyjnych". Przed moskiewską Olimpiadą w 1980 roku jednak odnowiono wiele cerkwi i kościołów, tak, żeby istniała w Moskwie przynajmniej jedna świątynia każdej religii na świecie (byłam w Moskwie jesienią 1979 roku i widziałam te wielkie remonty). Niby był to ukłon w stronę olimpijczyków ze wszystkich krajów świata, którzy tam mieli przybyć i zapewne życzyliby sobie od czasu do czasu uczestniczenia w obrządkach. Ateistyczni „właściciele" ZSRR chcieli też pokazać światu jacy to oni są tolerancyjni wobec religii i ludzi wierzących (w Konstytucji ZSRR widniał paragraf o wolności religijnej…)

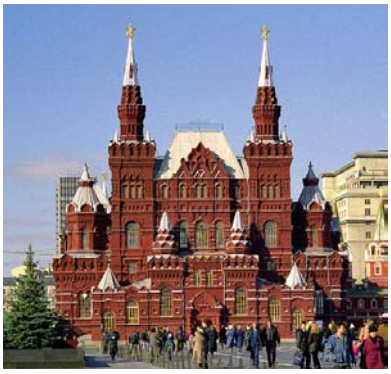


GUM na Placu Czerwonym



GUM wewnątrz

Wtedy jesienią 1953 roku, gdy po raz pierwszy zwiedzaliśmy Moskwę, po wschodniej stronie placu Czerwonego właśnie kończył się odnawiać wielki dom towarowy GUM (*Gosudarstwiennyj Universalnyj Magazin*). Zbudowany w latach 1890-93 budynek GUMu o długości ćwierci kilometra, był kombinacją elementów rosyjskiej średniowiecznej architektury kościelnej z europejską architekturą końca 19-go wieku, przypominającą paryskie czy londyńskie dworce kolejowe. Wtedy jednak oczywiście nie architektura tego budyn-ku nas interesowała, lecz spodziewane nowe towary w tym sklepie. W Moskwie ciągle były ogromne braki na rynku. Ciekawe, że nieco innego asortymentu niż w Polsce. Na przykład było w Moskwie już dużo drobnych produktów z plastików, podczas gdy w Polsce ta technologia jeszcze nie została opanowana. Wkrótce po naszej pierwszej wycieczce na Plac Czerwony GUM został otwarty i bywaliśmy tam wielokrotnie w poszukiwaniu różnych drobiazgów. Tam własnie wkrótce kupiłam sobie duży zestaw narzędzi do kreślenia technicznego tuszem, które używałam do końca studiów. (Teraz, w wieku komputerów brzmi to jak średniowiecze…)



Muzeum Lenina; obecnie Muzeum Historyczne



Teatr Wielki w Moskwie

Po północnej stronie Placu Czerwonego znajduje się wielki ceglasty, architektonicznie bardzo podobny do GUMu budynek, w którym poprzed-nio mieściło się muzeum Lenina, a obecnie jest muzeum Historyczne. (Po przemianach w 1990 roku muzeum Lenina nie zlikwidowali, lecz przenieśli do budynku na Placu Rewolucji.) Parę miesięcy później zwiedziliśmy to muzeum Lenina. Było dość ciekawe, ale spędziliśmy tam tylko



Fajerwerki w Moskwie

dwie godziny, a nie pięć, bo tyle potrzeba by obejść wszystkie sale i wysłuchać opowiadań przewodnika.

Jeszcze dalej na północny wschód od Placu Czerwonego znajduje się Plac Teatralny, przy którym stoi klasycystyczny budynek Teatru Wielkiego Opery i Baletu, przyozdobiony na fasadzie wielką kwadrygą Apolla wyrzeźbioną z bronzu przez Perter'a Clodt'a. Wielokrotnie później bywaliśmy w tym teatrze, jak również w jego filii. Scenografia przedstawień była zawsze wspaniała i fascynująca. Balety piękne i zachwycające kunsztem. Rosyjskie primadonny miały wspaniałe głosy, ale nie zawsze całkiem pasowały do ról młodych i wiotkich panienek… No cóż, były za to od wielu lat… „zasłużonymi artystkami ZSRR".

Wieczorem wróciliśmy na Plac Czerwony, bo właśnie miał się odbyć tak zwany „*salut*", czyli oświetlanie nieba wieloma poruszającymi się reflektorami oraz wystrzeliwanie kolorowych rakiet. Wszystko to było tym razem z okazji „Dnia Czołgistów". Później wielokrotnie również oglądaliśmy takie „salutowe" fajerwerkowe imprezy, szczególnie wyszukane na święta rocznicy Rewolucji Październikowej.

Wakacyjną przerwę międzysemestralną spędziliśmy nadal w tym samym miejscu, czyli w Akademiku, ale już bardziej rozrywkowo. Jeździliśmy po Moskwie, chodziliśmy do muzeów, kin i teatrów, a raz nawet w piękny słoneczny, acz mroźny dzień, gromadnie pojechaliśmy na narty do Parku Kultury imienia Izmaiłowa. Narty i resztę ekwipunku można było wypożyczyć na miejscu. Sprzęt nie był najlepszej jakości, bo gdy jeden z kolegów otrzepywał narty ze śniegu – jedna jego narta złamała się w pół… Musiał potem zapłacić za reperację. Dobrze jednak, że nie stało się w trakcie slalomu, bo szkody zapewne byłyby dużo większe.



W Parku Izmaiłowa



Lenin i Stalin w Mauzoleum

W czasie tych krótkich wakacji wreszcie po długich staraniach dostaliśmy pozwolenia na zwiedzenie Kremla oraz zwiedzenie Mauzoleum Lenina i wtedy – od pół roku, oraz w ciągu następnych kilku zaledwie lat – Stalina. Zarówno przed Mauzoleum jak i przed bramą Kremla trzeba było jednak wystać się w długiej kolejce, która była dość dobrze zorganizowana (nie dziwota, z dwóch stron kolejki, co parę metrów stali uzbrojeni milicjanci). Długie kolejki dodatkowo redukowały liczbę zwiedzających, bo nie wszyscy mieli dość czasu i ochoty na „odstanie" w niej.

Z wizyty w Mauzoleum, wewnątrz oświetlonego przytłumioną czerwoną poświatą, wyniosłam raczej przykre wrażenia. Zabalsamowanie ciał „ukochanych wodzów" z jednej strony przedłużyło jakby ich fizyczne istnienie („Lenin ciągle żywy!"; o Stalinie już się tak nie mówi…), a z drugiej strony wydawało się, że sowiecki komunizm znajdował się pod wpływem zapożyczonej z wierzeń egipskich idei rezurekcji zmarłych, powstrzymania procesu gnicia i transformacji zwłok do nowego życia. Samo Mauzoleum zbudowane zostało według planów nieco zbliżonych do egipskich piramid, w jakich na powtórne ożycie czekały zabalsamowane zwłoki faraonów. Stalina dość szybko potem z Mauzoleum wyprowadzono i przeniesiono na cmentarz zasłużonych przy murze kremlowskim, nazywany Ogrodami Aleksandrowa. Lenin pozostał nadal w Mauzoleum. W 1997 roku dyrektor Mauzoleum oficjalnie oświadczył, że nareszcie już jest technicznie możliwe sklonowanie Włodzimierza Iljicza!! Prawdopodobnie pierwsze próby już zostały dokonane…



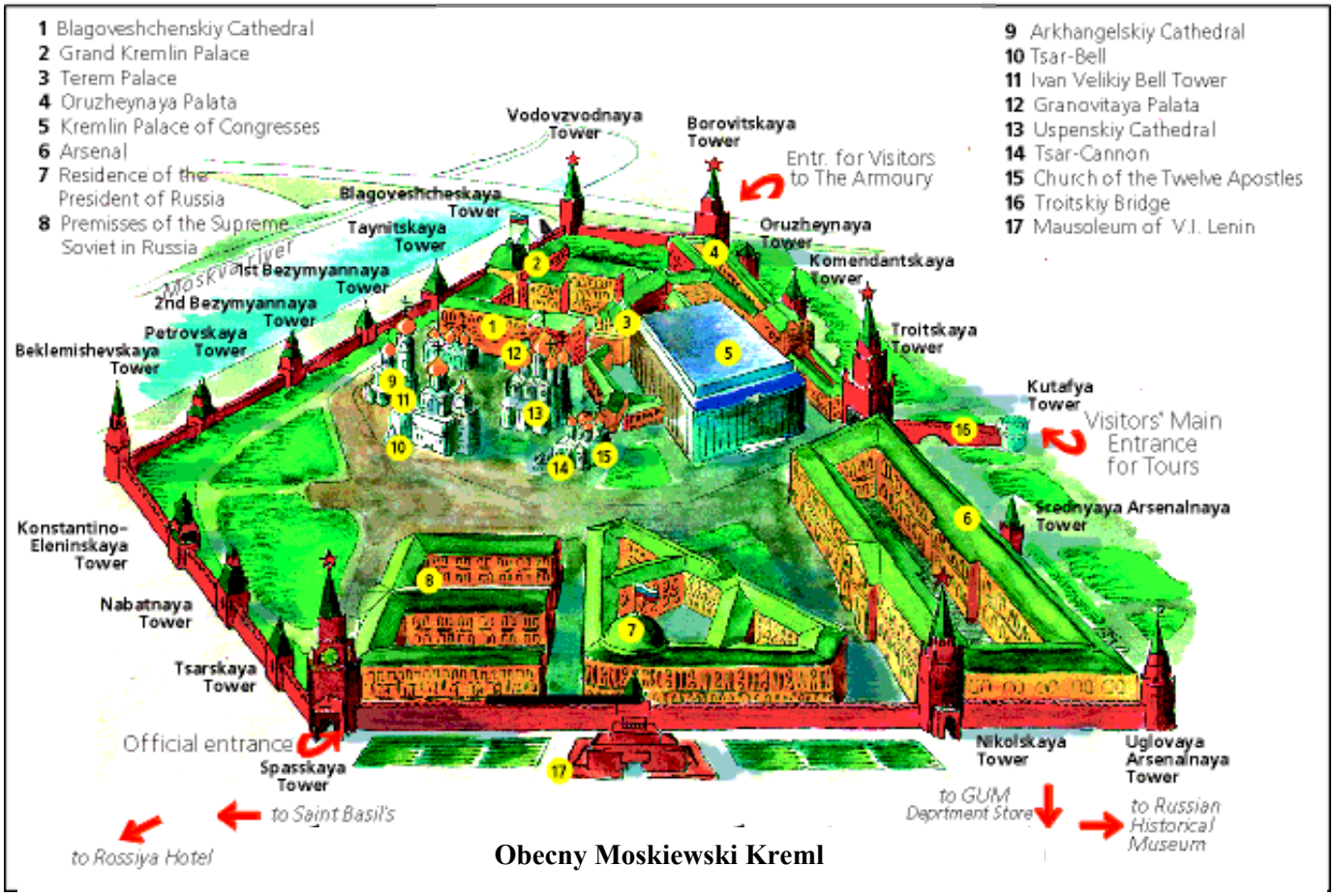
Włodzimierz Iljicz Lenin w Mauzoleum

Z drugiej jednak strony teraz, gdy Rosjanie powracają do relgii i dawnych tradycyjnych obrządków, wielu z nich nalega, by Lenin został pochowany jak przystało – w ziemi, o co zresztą prosił sam Lenin w testamencie (miał być pochowany razem z matką). Łączą się z tym stare rosyjskie porzekadła, że dopóki Lenin leży w Mauzoleum, to Rosja nie zazna spokoju. Jednak komuniści, będący wciąż ogromną siłą polityczną w Rosji, traktują każdą próbę zamknięcia Mauzoleum jako zamach na świętość.

Po zaledwie kilkuminutowym obejrzeniu Mauzoleum podążyliśmy do następnej kolejki – przed Troicką bramą kremlowską.

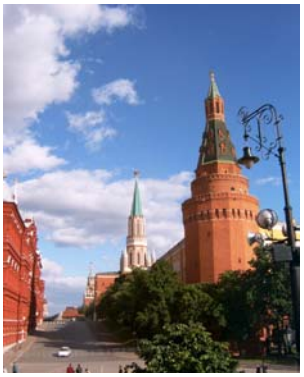
Zbudowany w 1156 roku na wzgórzu Borowickim, w widłach rzeki Moskwy i rzeczki Nieglinnej (nie istniejącej już) jako warowny zamek, Kreml, obecnie jeden z największych i najbogatszych zespołów architek-

tonicznych na świecie, jest symbolem państwa rosyjskiego. Kreml, na początku jako niewielka drewniana twierdza, był rezydencją Wielkich Książąt Moskiewskich, potem Carów, następnie rządu ZSRR z jego Radą Najwyższą i Radą Ministrów i wreszcie po 1990 roku – jest siedzibą demokratycznego rządu Rosji. Kreml był wielokrotnie przebudowywany; w 15-wieku w generalnej renowacji uczestniczyli architekci i artyści włoskiego renesansu.



Obecny Moskiewski Kreml

1 Sobór Błagowieszczański
2 Wielki Pałac Kremlowski
3 Pałac Tieremnyj
4 Orużejnaja Pałata
5 Kremlowski Pałac Kongresowy
6 Arsenał
7 Rezydencja Prezydenta Rosji
8 Rada Najwyższa Rosji
9 Sobór Archangielski
10 Dzwon *Car Kołokoł*
11 Dzwonnica Iwana Groźnego
12 Granowitaja Pałata
13 Sobór Uspieński
14 Działo *Car Puszka*
15 Cerkiew 12-stu Apostołów
16 Most Troicki
17 Mauzoleum Lenina



Mury Kremla od strony ulicy Ochotnyj Riad

Zobaczyliśmy wtedy bliżej wszystkie wspaniałe sobory – Błagowieszczeński (Zwiastowania) z 1326 roku, Archangielski i Uspieński (Wniebowzięcia), wspaniałą 81-metrową dzwonnicę Iwana Wielkiego Groźnego z 42 dzwonami, największy z których waży 64 tony. Następnie – wszystkie budynki rządowe, oraz stojące na placu koło Soborów relikty przeszłości: ogromny *Car Kołokoł* (carski dzwon z 1734 roku, który nigdy nie dzwonił, bo pękł już w czasie odlewania) i *Car Puszkę* (wielkie carskie działo z 1586 roku, które nigdy nie wystrzeliło). Do środka Soborów i innych budynków Kremla nie wpuszczano. Dopiero w 1995 roku zwiedziłam Kreml lepiej. Byłam wtedy zafascynowana ogromem, rozmaitością i pięknem skarbów, zebranych w Muzeum Kremlowskim. Kreml jest przebogatym skarbcem historycznych pamiątek oraz pomników sztuki i kultury datujących się od 14-go wieku. Trzeba dodać, że Kreml jako zamek warowny nigdy nie został zdobyty i rozgrabiony, więc zachowały się w nim gromadzone przez wieki bogactwa.

W 1990 roku UNESCO wpisało moskiewski Kreml wraz z Placem Czerwonym i Ogrodami Aleksandrowa na listę Światowego Dziedzictwa.



Madonna z Dzieciątkiem z 12-go wieku w Soborze Uspieńskim



Dzwon „*Car Kołokoł*”



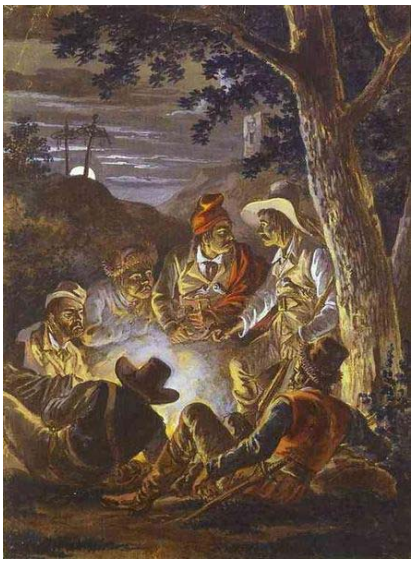
Spasska Baszta



Zachodnia strona muru Kremlowskiego

Już nie tylko w czasie przerwy semestralnej, ale i w ciągu roku akademickego wielokrotnie chodziliśmy na różne uroczystości, które organizowała Polska Ambasada. Święta narodowe stanowiły takie ważne okazje. Oprócz oczywiście odpowiednich mów, na szczęście krótkich, były to przedstawienia – zwykle składanki występów znanych aktorów, koncertów, tańców oraz przedstawień kukiełkowych artystów ze słynnego teatru Obrazcowa. W przerwach podawano nawet napoje i ciasteczka. Miło.

Wraz z Danką miałyśmy wspólne zainteresowania – chodzenie do teatrów, jak tylko był czas i udawało się zdobyć bilety. Czasami pomagała w tym ostatnim Polska Ambasada, przysyłając nam darmowe bilety do teatrów i na różne inne imprezy. W ten sposób zobaczyłyśmy wiele rosyjskich sztuk, oper, operetek i baletów. Kilka razy byłyśmy też na koncertach w przepięknej sali imienia Czajkowskiego, oraz na spotkaniach ze znanymi rosyjskimi pisarzami, albo kompozytorami, co również było bardzo ciekawe (na przykład spotkanie z kompozytorem znanej i często wtedy śpiewanej piosenki „Naprzód młodzieży świata…”, Nowikowem). Innym razem byłyśmy na spotkaniu z dziennikarzami w redakcji satyrycznego tygodnika „Krokodyl”.



Obraz Aleksandra Orłowskiego „Powstańcy polscy w lesie nocą” w Galerii Tretiakowskiej

Kino też było naszą częstą rozrywką. Oczywiście dominowały na ekranach filmy radzieckie – albo tragiczne filmy z Drugiej Wojny Światowej, albo powojenne, przepełnione „radosną propagandą”. Ale było też sporo ciekawych filmów, tak zwanych „*trofiejnych*”, przywiezionych z Niemiec w charakterze łupów wojennych. Były to filmy nie tylko niemieckie, lecz również francuskie, austryjackie, angielskie, amerykańskie i inne. Obejrzałam wtedy z przyjemnością po raz pierwszy kilka animowanych filmów dla dzieci Disney’a (moje dzieciństwo było raczej smutne – najwpierw wojenne, a potem powojenne życie wśród gruzów, bez rozrywek, w tym i kina).

Zwiedziliśmy również Galerię Tretiakowską, ogromną galerię obrazów starych mistrzów rosyjskich i zachodnich, w owych czasach uzupełnioną dodatkowo przez kolekcję obrazów galerii drezneńskiej również zabranej Niemcom jako łup wojenny (nieco później część tych obrazów oddano Drezno’wi).

Paweł Tretiakow, fundator tej galerii w 1856 roku, który był kupcem i wielkim koneserem sztuki, wzbogacił się będąc właścicielem zakładu tekstylnego. W 1918 roku Galeria została znacjonalizowana i stała się Muzeum państwowym. Galeria była zorganizowana tak, że trzeba było przejść labirynt wszystkich 52-ch sal po kolei, zanim się dotarło się do wyjścia. Trwało to dobrych kilka godzin. Pamiętam, że moi koledzy – nałogowi palacze – niezbyt byli zadowoleni, że wewnątrz palenie było zabronione. Potem na pytanie jak im sie pobobała ta galeria, odpowiadali, że na początku tak, obrazy podo-

bały im się, ale potem przez następne trzy godziny w tym labiryncie szukali już tylko jak najszybciej wyjścia…

Ulice Moskwy były zawsze wyjątkowo czyste i nawet gdy padał śnieg, to szybko znikał. W nocy i nad ranem jeździły specjalne pojazdy czyszczące ulice i usuwające śnieg, a później „*babuszki*" zamiatały resztki wiklinowymi miotłami.



"*Babuszka*" zamiatająca ulicę Moskwy

Bardzo nas dziwił wtedy widok Rosjan chodzących po ulicach i liżących lody w zimie w czasie trzaskającego mrozu, co nie znaczy, że nam się to nie podobało i wkrótce sami szybko zapożyczyliśmy tę tradycję. Lody stanowiły rosyjską specjalność. Kioski albo wózki na ulicach z najróżniejszymi lodami dostępne były przez cały rok.



Typowa scenka: lizanie lodów



Moskiewski Uniwersytet imienia Łomonosowa

W kolejną wolną niedzielę zwiedziliśmy również nowo otworzony ogromny kampus Moskiewskiego Uniwersytetu imienia Łomonosowa (*Moskowskij Gosudarstwiennyj Uniwersytet imieni Łomonosowa*). Uniwersytet ten powstał w 1755 roku, a właśnie w 1953 roku, przed paroma miesiącami przeniósł się do świeżo wykończonych budynków-wieżowców – najwyższych wtedy w Europie (36 pięter, 240 m wysokości), zbudowanych na Wzgórzach Leninowskich (teraz nazwa tych wzgórz wróciła do poprzedniej: „*Worobiewy Gory*"…). Ze wzgórz tych roztacza się wielka panorama Moskwy, ogromnego miasta, rozciągającego się na obszarze blisko 900 kilometrów kwadratowych. (Obecnie w Moskwie mieszka ponad 8 milionów mieszkańców.) Budynek Uniwersytetu na tych wzgórach był największym z „siedmiu sióstr Stalina", siedmiu ogromnych wieżowców w stylu art-deco zbudowanych po wojnie w Moskwie. Do środka głównego gmachu Uniwersytetu – z wyjątkiem głównego hallu – nie wpuszczali, ale mieliśmy szczęście spotkać polskiego studenta; w tym hallu rozmawialiśmy oczywiście po polsku i on podszedł do nas i przedstawił się, oraz natychmiast zaproponował wycieczkę do swego pokoju na górze. Trochę nas zazdrość ściskała, bo akademiki Uniwersytetu Łomonosowa miały pojedyńcze pokoje dla studentów oraz jedną, w pełni wyposażoną łazienkę oraz kuchenkę na dwa pokoje… Ale cóż, może tamtejsi studenci czuli się wyalienowani i narzekali za to na brak towarzystwa?…



Jedna z „siedmiu sióstr Stalina" – *Kotelnickaja*



Przed budynkiem Uniwersytetu im. Łomonosowa. Od lewej: Danka, Jurek, Edek i ja. Wrzesień 1953 r.



Autorka przed Uniwersytetem Lomonosowa

Mówiąc o Łomonosowie, należy wspomnieć, że w historii nauki Rosji odegrał on ogromną rolę i aż dziw, że komuniści go zaakceptpwali i to z kretesem. Podobnie do Leonarda da Vinci, Michał W. Łomonosow, najwybitniejszy przedstawiciel Oświecenia w Rosji, prowadził szerokie badania naukowe i stworzył sporo przyczynków w wielu różnych dziedzinach – chemii, fizyce, naukach przyrodniczych, astronomii, geologii,

teorii języka, literaturze. Każdy pierwszy wykład nowego przedmiotu na MWTU zaczynał się od przeglądu historycznego przyczynków w danej dziedzinie i za każdym razem padało nazwisko Łomonosowa. Wkrótce studenci już wiedzieli i na pierwszym wykładzie z większości dziedzin nie dawali skończyć profesorowi zdania „Pierwszym, który pracował w dziedzinie (i tu wymieniał nazwę dziedziny swojego wykładu) był…", a wtedy cała sala studentow już gromko krzyczała „ŁOMONOSOW!!"



Fajerwerki przed Uniwersytetem Łomonosowa z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej

We wrześniu 1954 roku, już po dwu-miesięcznych bardzo przyjemnych wakacjach w kraju, zachwyciła nas w Moskwie Wystawa Rolnicza. Teraz z perspektywy czasu sądzę, że projektanci formy tej wystawy wzorowali się chyba na amerykańskim Disneylandzie, zupełnie nieznanym wtedy we wschodniej Europie. Chyba jednak urzędnikom ambasady ZSRR w USA oraz innym (zasłużonym) obywatelom ZSRR, przyjeżdżającym do USA nie zabraniono zwiedzania kontynentu Ameryki? Bo widocznie w jakiś sposób wrażenia disney'owskie zasiały ziarna w głowach właściwych ludzi… Treść tej wystawy również była prawie że disney'owska, pachnąca fikcją – „Wspaniałe osiągnięcia radzieckiego rolnictwa we wszystkich republikach ZSRR"… Ach, znając już nieźle od roku „radzieckie realia", gdybyż te osiągnięcia były choć w drobnej części tak wielkie jak je tam przedstawiano, to byłby już w tym kraju raj… Wystawa pokazała rzeczywiście ogrom, wizję i rozmach w treści, a piękno, pomysłowość i gust w formie. Teren wystawy był ogromny. Bezpłatne trolejbusy woziły zwiedzających od jednych pawilonów do drugich, a więc można było najwpierw obejrzeć wystawę przez okna trojlejbusu, a potem wysiąść na którymkolwiek z 10-ciu przystanków. Wszystkie ścieżki dla pieszych wyasfaltowano, było czysto, bez kurzu, częstej plagi takich wielkich wystaw na świeżym powietrzu. Między pawilonami kwitły ogrody, klomby jak dywany, mnóstwo kwiatów, sady, parki, a wśród nich miejsca rozrywek—kina, teatry wewnątrz specjalnych pięknych budynków i na wolnym powietrzu, koncerty oraz tańce publiczności na estradach, wiele restauracji, kawiarni, herbaciarni i nawet pomysłowa lodziarnia obłożona na zawnątrz sztucznym śniegiem i soplami lodu. Wspaniałe, często filigranowe fasady pawilonów wszystkich republik, a wewnątrz pawilonów – wystawy najrozmaitsze, przebogate. W uzbeckim pawilonie całe pole bawełny, w gruzińskim – pole herbaty, palmy, bambusy. W sadzie miczurinowskim – na jednym pniu jabłoni rosło ponad 30 rodzajów jabłek różnych wielkości, kształtów i kolorów. Wieczorem na terenie wystawy zapaliły się światła, różnokolorowe reflektory, podświetlono fontanny.



Na Wystawie Rolniczej: Od lewej Jurek, ja i Danka



Na Wystawie Rolniczej – Jurek i ja



Na wystawie Rolniczej. Od lewej Janek, ja i Edek

Jakże to wszystko różniło się od radzieckiej „szarzyzny codzienności"…

Spędziliśmy na tej wystawie wesoło trzy kolejne niedziele.

Wydaje się, że w ciągu całej historii ZSRR ludzie żyli tam marzeniami, wizjami, sądząc zapewne, że tylko u nich, w ich wiosce czy miasteczku było źle, a w całym państwie, to znaczy wszędzie gdzie indziej wszystko wspaniale prosperowało. Tak przecież przedstawiała ten kraj propaganda. A nie tak łatwo było tym ludziom jeździć gdziekolwiek dalej by skonfrontować rzeczywistość. Władza radziecka wiedziała co i dlaczego robi, zabraniając „włóczenia się po kraju nieupoważnionym obywatelom"…

W ciągu dwóch lat mego pobytu w Moskwie tylko trzy razy zaproszono mnie do prywatnego mieszkania, w tym dwukrotnie z okazji kolejnych świąt narodowych wraz z całą moją grupą studencką (kapuś był z nami…). Pierwszy raz zostałam zaproszona wraz z jedną z koleżanek-Rosjanek z mego pokoju do jej krewnych w Moskwie. Krewni mieszkali w dwóch z pokojach dużego, dość przyzwoitego i ładnego mieszkania w przedwojennym domu (w pozostałych pokojach mieszkały inne rodziny). Pracowali oni na jakichś wysokich stanowiskach, co tłumaczyło, że nie bali się wpuszczć do mieszkania cudzoziemki (szeregowym obywatelom z zasady nie wolno było się kontaktować z cudzoziemcami). Drugi raz – jeden z kolegów z naszej grupy studenckiej zaprosił wszystkich na ucztowanie z okazji Święta Rewolucji. Pojechaliśmy po zajęciach całą gromadą, po drodze robiąc składkowe zakupy jedzeniowe i alkoholowe. Impreza odbywała się w małym miasteczku pod Moskwą, Carycynie, w którym nasz kolega mieszkał z rodziną w małym, bardzo skromnym domku. Bawiliśmy się tam bardzo wesoło całą noc. Trzeci raz – koleżanka zaprosiła całą grupę do swego „mieszkania", też z okazji Święta, tym razem Pierwszego Maja. Mieszkała wraz z matką w jednym dużym pokoju, w którym stał piec i nie było żadnych mebli. Materac czy siennik przykryty szarym kocem leżał na podłodze, a pieńki drzew służyły za krzesła. Przerażający obraz ubóstwa. Wprost nie mogłam sobie wyobrazić jak ta dziewczyna mogła się uczyć. Wstyd było nawet pytać o cokolwiek…



Łubianka z pomnikiem Dzierżyńskiego

Nieco później odwiedziliśmy Plac Dzierżyńskiego z wielkim pomnikiem Feliksa Dzierżyńskiego przed budynkiem kwatery Głównej NKWD (a potem KGB) – budzącej grozę Łubianki, która ponoć ma pięć pięter… piwnic, w których odbywały się przesłuchania i kaźnie. Oczywiście budynek ten był pilnie strzeżony, niedostępny. Po wielkim przewrocie, w sierpniu 1991 roku statua Dzierżyńskiego została zdjęta z podestu i na jej miejscu umieszczono prawosławny krzyż. Przetrwał on tam przez jakiś czas.

O Dzierżyńskim, który był Polakiem, opowiadano polski dowcip, że był on najlepszym polskim patriotą, bo to właśnie on pozabijał najwięcej Rusków, historycznych wrogów Polski…

Dowcipy i Gułagi

Z dowcipami w ZSRR należało jednak bardzo uważać. Nie dlatego, że obywatele radzieccy nie mieli poczucia humoru, czego dowodem jest seria toastów gruzińskich albo seria „ormiańskiego radia Erywań". Przykładem z tej ostatniej serii może być pytanie do radia Erywań: "Czy to prawda, że Iwan Pietrowicz dostał na Kremlu samochód marki 'Wołga'"? Odpowiedź: „Sprawdzaliśmy, prawda. Ale nie zupełnie. Po pierwsze – nie Iwan Pietrowicz, lecz Piotr Iwanowicz, po drugie – nie na Kremlu, tylko na placu Czerwonym, po trzecie – nie samochód marki 'Wołga', tylko rower i po czwarte – nie dostał, tylko mu ukradli." Albo inne pytanie do radia Erywań: „Czy to prawda, że korzeń żeń-szeń wzmaga potencję?" Odpowiedź: „Próbowaliśmy, sprawdzaliśmy, TAK, wzmaga. Jeżeli dobrze przywiązać!!"

Jeden z toastów gruzińskich: Wypijmy na zdrowie Gogo – nie za to, że ma trzy mieszkania, bo przecież i my nie mieszkamy w szałasach, i nie za to, że Gogo ma pięć kochanek, my przecież także nie śpimy ze swoimi żonami. Wypijmy za zdrowie Gogo za to, że jest on prawdziwym komunistą!

Inna anegdotka: Obraduje Komisja RWPG do Spraw Kartofli, omawiają doświadczenia z sadzenia i plonów. Pytają przedstawiciela ZSRR. – A jak tam u was, towarzyszu, kiedy sadzicie kartofle? – O, my już w marcu sadzimy! – A kiedy zbieracie? – A zbieramy już w kwietniu. – Komisja zaciekawiona tak szybką produkcją kartofli pyta: – To nie do wiary, już za tydzień macie plony i zbieracie? Tak szybko zbieracie?! – To normalne – wyjaśnia przedstawiciel ZSRR – *żrać choczetsa* (głodni jesteśmy)!!

Tym razem polski dowcip: Facet dostał wyrok – 8 lat, 8 miesięcy i 8 dni. Kolega w celi więziennej pyta: – Co to za dziwny wyrok! – A no, dostałem 8 dni wyroku, za to, że patrzyłem na Breżniewa jak przemawiał na trybunie, 8 miesięcy dostałem za to, że patrzyłem przez lunetę, a 8 lat – za to, że do lunety przymocowany był karabin…

Albo dowcip – pytanie: Kto to jest „Gołąbek pokoju"? Odpowiedź: Jest to Duch Święty po przeszkoleniu ideologicznym.

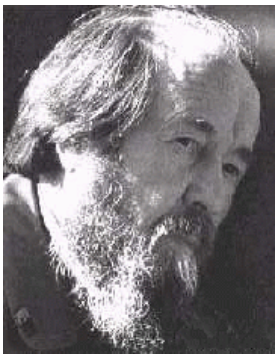
Głos z kuchni w polskim barze mlecznym: – Kto zamawiał ruskie?! Długa chwila ciszy, wreszcie głos z sali: – Nikt nie zamawiał, same przyszli!!

I jeszcze jedna anegdotka, z życia wzięta: Gdzieś w jakimś małym miasteczku ZSRR znaleziono 170-letniego staruszka. Sensacja, 170 lat to nie lada co, więc zjeżdżają się dziennikarze, reporterzy. Znaleźli dziadka i proszą: – No to opowiadajcie staruszku, widzieliście i pamiętacie napewno bardzo dużo, jak to się stało, że dożyliście tak sędziwego wieku? – No bo po rewolucji… – zaczyna staruszek, ale reporter mu przerywa: – No oczywiście, warunki lepsze to… – Staruszek kręci głową i znów zaczyna: – Zaraz, zaraz, bo po rewolucji… – Ale inny reporter znów przerywa: – No tak, bo i lepsze mieszkanie i lepsza praca… – Ale chwileczkę, – znów staruszek oponuje – bo po rewolucji… – Tak, tak, i kultura wyższa i zdrowie lepsze… – dodaje następny reporter. Wreszcie staruszek dochodzi do głosu: – BO PO REWOLUCJI BYŁ TAKI BURDEL, ŻE MI STO LAT DOPISALI!!"

I nieco późniejsza, prorocza anegdotka o etapach historycznych ZSRR: Pierwszy etap – leninowski: elektryfikacja, budowa, nadzieje. Drugi – stalinowski: transport, rozwój kolejnictwa, wszyscy jak w pociągu czy tramwaju, jeden prowadzi, część siedzi, reszta się trzęsie (aluzje do więzień i strachu). Trzeci – chruszczowowski: rozwój lotnictwa, jeden prowadzi, wszyscy rzygają. Czwarty – breżniewowski: rozwój lotów kosmicznych. Jeden prowadzi, ale nikt nie wie dokąd dolecą… (i tu proroctwo…)

Pracownicy NKWD, (a potem KGB) nie mieli jednak żadnego poczucia humoru. Podobno wielki rosyjski Kanał Białomorski został zbudowany właśnie przez więźniarzy, byłych „żartownisiów".

Pod koniec 1971 roku wyjechałam z Warszawy na trzy-miesięczny po-doktorski staż na Uniwersytecie Paris VI w Paryżu. Miałam wtedy dostęp do zakazanych w Polsce wydawnictw „Kultury" i okazję przeczytania kilku książek oraz wielu zeszytów miesięcznika „Kultura". W jednym z tych ostatnich znalazłam artykuł i mapy ZSRR z zaznaczonymi więzieniami, łagrami i obozami pracy. Obraz ten był szokujący. Po prostu całe ZSRR było jednym ogromnym gułagiem. Już wtedy też coraz więcej wiedziano na temat gułagów, bo nie tylko Chruszczow zapoczątkował pewną „odwilż" systemu i nieco więcej swobód i dopływu informacji, ale również wydano na Zachodzie „Pierwszy krąg" i „Archipelag gułag", a nawet w Polsce „Jeden dzień Iwana Denisowicza" – książki znakomitego pisarza i laureata nagrody Nobla, Aleksandra Sołżenicyna, byłego więźnia sowieckich łagrów… Jego świadectwa otwierały wielu ludziom oczy.


Aleksander I. Sołżenicyn

Dopiero jednak amerykański Prezydent Reagan nie tylko nazwał ZSRR właściwie, po imieniu – „IMPERIUM ZŁA" i mówił również i o innych „państwach osi zła", ale rozpoczął też konsekwentną politykę, która doprowadziła wreszcie do zlikwidowania ogromnej części tej osi zła. Zwracając się do ówczesnego Pierwszego Sekretarza Komunistycznej Partii ZSRR, Reagan wypowiedział pamiętne słowa: – Panie Gorbaczow, zburz pan ten mur! – I w kilka lat później Mur Berliński, a wraz z nim komunistyczne reżymy upadały jedne po drugich.

Ta „oś" znikła. Obecnie niestety już nie mówi się o „osi", lecz o światowej „sieci zła". Zła, które niestety ciągle istnieje i stwarza realne i poważne zagrożenie.

Będąc wtedy w Paryżu w 1971 roku przeczytałam również wizjonerską książkę rosyjskiego dysydenta Andriej'a Amarlik'a pod tytułem-pytaniem „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?" Na podstawie świetnej analizy działania systemu wewnętrznego, który osobiście nieźle poznałam, oraz na podstawie analizy układów międzynarodowych, Amarlik przewidywał, że nie przetrwa (w istocie pomylił się tylko o 7 lat!). W owych czasach ciągle „zdarzały się" konflikty na granicy ZSRR i komunistycznych Chin, które bardzo „nadwątlały" kraj. (Krążył zresztą na ten temat dowcip: Z dwóch stron granicznej rzeki Ussuri stały ogromne uzbrojone po zęby armie – radziecka i chińska, gotowe do rozpoczęcia walki. Wtem zza chmurki wychyla się biała brodata głowa Marksa i gromko krzyczy: „Proletariusze wszystkich krajów…. ROZEJDŹCIE SIĘ!!")

W istocie jednak po latach, nie Chiny lecz wojna radziecka w Afganistanie nadszarpnęła mocno komunizm ZSRR (Afganistan, jako aluzja do historii USA, nazywany jest dziś „sowieckim Wietnamem").

Przeczytawszy tę książkę wierzyłam, że Amarlik ma rację (i miał w istocie!!), ale wolałam nie czekać spokojnie w Polsce na materializowanie się przepowiedni, bo wiedziałam, że komuniści w ZSRR tak łatwo

nie ustąpią, a przeżywanie następnej wojny w takiej lub innej formie, wcale mi się nie uśmiechało. W owym czasie będąc we Francji już wiedziałam, że trzeba uciekać na zachód, póki nie jest za późno…

Ślub

Przeglądając teraz moje listy do Mamy z Moskwy, wysyłane regularnie – jak się umówiłyśmy – raz na tydzień, znalazłam kilka zdań pisanych już w październiku 1953 roku, że wśród wszystkich kolegów naszej Polonii w MWTU najbardziej podobał mi się Jurek Muszyński, bo był inteligentny, zdolny, bystry, oczytany i miał błyskotliwe poczucie humoru (paczkę tych moich listów do Mamy znalazłam, gdy wiele lat później likwidowaliśmy z bratem mieszkanie Mamy; potem ta paczka w cudowny sposób powędrowała za mną do USA). Dopiero teraz, po przeszło pół wieku, zaglądnęłam do tych listów. Nawet zupełnie już nie pamiętałam, że napisałam Mamie o Jurku tak wcześnie. Przez następne pół roku moje stosunki z Jurkiem były jednak takie same jak ze wszystkimi innymi kolegami. Lubiłam go, ale nic pozatem, aczkolwiek pewnego dnia miałam niesamowite, prorocze jasnowidzenie. Weszłam do jednego z pokojów naszych kolegów, w którym właśnie wtedy Jurek trochę kpinkowato (był on również dość arogancki) perorował o przyszłości, jak to każdy z nas będzie wodził za rączkę gromadki swoich dzieci. Wtedy przez mój mózg przemknęła jak błyskawica myśl: „Ty tak sobie tu na ten temat dowcipkujesz, a wcale nie wiesz, że właśnie my będziemy mieli syna". Sama nawet się przelękłam tej błyskawicy i oczywiście nikomu nigdy o tym nie wspomniałam. To w istocie było proroczym przewidywaniem przyszłości. Ale przez następne pół roku spokojnie i z daleka przyglądałam się Jurkowi.



Wesele Iry i Pawła 18 kwietnia 1954 roku. Od lewej: Danka, Lońka, Janek, Tamara, Irina, ja i Jurek

Pod koniec kwietnia następnego roku nagle jakaś niespodziewana iskra zapaliła wielki płomień. Cóż, wiosna… Akurat świętowaliśmy ślub i wesele naszego kolegi Pawła z Rosjanką Iriną.

Do Polski na wakacje 1954 roku już pojechałam razem z Jurkiem; zorganizowaliśmy razem z Joanną, Kazikiem i Jankiem tygodniową wycieczkę rowerową po Polsce. Część tych wakacji spędzaliśmy jednak oddzielnie, każde z nas będąc ze swoimi rodzinami, które później również miały okazję poznać się przelotnie owego lata. Moja Mama, mimo, że Jurek jej się spodobał, jak zawsze była pełna obaw i starała się mnie przekonać, żeby myśleć o małżeństwie dopiero po skończeniu studiów, czyli za 4 i pół roku.

Wtedy rzeczywiście przyznawałam jej rację.

Te racje jednak przybladły, gdy po wakacjach na dalszych studiach w Moskwie zaczął się przybliżać czas ostatecznego powrotu Jurka do Polski. W marcu 1955 roku Jurek miał bronić swoją pracę magisterską i natychmiast potem musiał wracać do kraju i rozpoczynać pracę zawodową. A mnie czekało jeszcze 4 lata studiów w Moskwie…

Od ponad pół roku czyli od kwietnia 1954 roku nasza miłość już bardzo okrzepła, spędzaliśmy ze sobą wszystkie wolne chwile, rozrywkowo, albo pomagając sobie wzajemnie w pracy uczelnianej. Oboje byliśmy monogamistami i świetnie rozumieliśmy się nawzajem. Przerażała nas szybko nadchodząca rozłąka.

Decydującym bodaj czynnikiem nagłej decyzji zawarcia ślubu okazała się „niezaklepana" wtedy jeszcze, ale całkiem realna możliwość dostania w naszym *Obszczeżyciu* „pół pokoju", zamiast gnieżdżenia się w chaosie kilkunastu osób. Kilka mniejszych pokoi, w których normalnie mieszkało 5-ciu lub 6-ciu studentów było poprzedzielanych na połowę szafami i kotarami z koców i w każdej połowie mieszkało jedno studenckie małżeństwo. Jurek, który w tym akademiku spędził ponad 5 lat, miał już sporo przyjaciół w administracji, którzy pomogli sprawę załatwić. Chodziło zresztą o takie mieszkanie na zaledwie kilka miesięcy, do czasu jego wyjazdu.

Najważniejszym jednak argumentem było to, że związanie się małżeństwem dawało pewne szanse mojego przeniesienia się do Polski na dalsze studia, co rzeczywiście później szczęśliwie zmaterializowało się: studia 3-go roku akademickiego kontynuowałam już na Politechnice Warszawskiej.

Dla Jurka i dla mnie jesień 1954 roku w Moskwie była naładowana ogromnymi emocjami i wahaniami. Wreszcie, mimo dużych oporów ze strony mojej Mamy, podjęliśmy samodzielną decyzję: pobieramy się.

Ślub w Moskwie. W sowieckim stylu. Szybko, łatwo i…, nie, niezbyt przyjemnie. O tyle jednak pozytywnie, że wtedy właśnie, od roku (w wyniku postępującej odwilży po śmierci Stalina) władze ZSRR zezwoliły wreszcie na zawieranie małżeństw mieszanych – obywateli ZSRR z cudzoziemcami, przy czym, co było ważne dla wielu osób, obywatele ZSRR nie tracili przez taki związek swojego obywatelstwa, nawet wyjeżdżając z ZSRR. Przed nieco więcej niż przed rokiem nie było to możliwe. Również, prawdopodobnie na mocy umów międzynarodowych, urzędnicy Stanu Cywilnego w ZSRR udzielali zaślubin cudzoziemcom.

Wkrótce po ogłoszeniu tego nowego przepisu wiele młodych ludzi różnych narodowości, szczególnie studentów, natychmiast pozawierało związki małżeńskie. Często młode mieszkanki ZSSR były zafascynowane obcokrajowcami. Słyszałam o jednej urodziwej Rosjance, która wyszła za mąż za bogatego Afganistańczyka, kolegę ze studiów w ZSRR. Po uzyskaniu dyplomów pojechali do Afganistanu. Tam okazało się, że jej mąż ma już spory harem afgańskich żon i Rosjanka ta została zamknięta w haremie. Wychowana w komunistycznym społeczeństwie nie mogła absolutnie tego znieść i zaczła się buntować. Wtedy jej „ukochany mąż" po prostu sprzedał ją do innego haremu, gdzie nikogo nie znała i nawet nie mogła się z nikim porozumieć. Kilkakrotnie stamtąd uciekała, chcąc dotrzeć do konsulatu ZSSR, ale natychmiast policja doprowadzała ją spowrotem. Kobiety w Afganistanie były traktowane jak część trzody właściciela. Wreszcie za którymś tam razem uciekając natknęła się na radzieckiego dziennikarza. Ten wysłuchał jej historii i nagłośnił ją. Po wielu dalszych perypetiach, dziewczyna ta w końcu wróciła do ZSRR.

W owych czasach w tym ateistycznym państwie, Urzędy Stanu Cywilnego niczym nie różniły się od innych urzędów. Żadnych świadków ceremonii ślubu nie było potrzeba, nawet żadnych dokumentów też nie, z wyjątkiem dowodu tożsamości, głównie po to, by wbić weń pieczątkę oraz bezbłędnie przepisać nazwiska do aktu ślubu, *Swidietielstwa o Brakie* (co brzmi po polsku dość podejrzanie: jakby czegoś tam „brakowało" w tym interesie). Nie trzeba było się nawet umawiać zawczasu na wizytę, czekać tygodniami, czy dłużej. Dlatego też wiele ludzi w owych czasach zawierało śluby w sposób zupełnie nieprzemyślany, pod wpływem alkoholu czy też nagłego zauroczenia. Ot, po prostu chłopak mówił dziewczynie, lub dziewczyna chłopakowi: „*Dawaj, raspisziomsa*" (podpiszmy się), bo podstawową czynnością w Urzędzie Stanu Cywilnego było podpisanie się na akcie ślubu pod kontrolą urzędnika. Młodzi ludzie jechali do Urzędu i w 10 minut stawali się małżonkami (dużo zaś trudniej było z rozwodami).

Mówię „w owych czasach", bo poźniej brakowało widać wielu ludziom uroczystego otoczenia i ceremonii typu kościelnych zaślubin, więc stworzono „Pałace Ślubów", w których śluby cywilne przypominały jako żywo tradycyjne obrządki kościelne, z tym tylko wyjątkiem, że popa, księdza, czy pastora zastępował urzędnik. Ale był on już lepiej ubrany, umiał deklamować „świeckie formułki" i kierować niekiedy bardzo wyszukanym ceremoniałem. Przywrócili też istotną część ceremonii zawierania małżeństw: przysięgę przyszłych małżonków sobie nawzajem wobec świadków. (Nie zmniejszyło to jednak wcale liczby późniejszych rozwodów…)

W „naszym" Urzędzie Stanu Cywilnego w Moskwie, do którego pojechaliśmy metrem rano 2-go grudnia 1954 roku, była tylko jedna „*babuszka*", która panoszyła się za biurkiem, i… szczęśliwie żadnych innych klientów. *Babuszka* pozwoliła nam łaskawie na te kilka minut załatwiania sprawy usiąść na krzesłach po drugiej stronie biurka. Po 10-ciu minutach było po wszystkim. Wyszliśmy z jednym egzemplarzem wydrukowanego dokumentu *Swidietielstwa* z wpisanymi atramentem naszymi danymi. Dokument ten był wielkości pół stroniczki, złożonej w połowie. W naszych polskich paszportach „babuszka" wbiła również odpowiednie pieczątki i wpisała nazwiska małżonków. Od tego momentu moje nazwisko wypisane w nim bukwami brzmiało „*Muszinskaja*".



Jurek ze mną w Moskwie w grudniu 1954 roku

Był to początek sesji semestralnej i po południu owego dnia miałam pisemny ezgamin zaliczeniowy z ćwiczeń z Wytrzymałości Materiałów. Ponieważ udało nam się szybko, bez kolejki załatwić sprawę ślubu, zdążyłam na ten egzamin. Po kilku dniach oka-

zało się, że zdałam go na piątkę… z minusem. Gdy asystentka prowadząca owe ćwiczenia oddawała nam nasze egaminacyjne „wypracowania", wyjątkowo w szczególności skomentowała to moje. Wyniki były dobre, ale kartki w istocie nabazgrane fatalnie, bo się myliłam w obliczeniach, przekreślałam, zaczynałam od nowa. Asystentka sprawdzała jednak wyniki końcowe, które były poprawne i oceniła całość na piątkę. Przy sprawdzaniu tych testów, towarzyszyła jej 7-mioletnia córeczka. Córeczka była zdumiona, że takie bazgroły otrzymały najwyższą notę i zwróciła uwagę matce, że chyba się pomyliła, bo za takie wypracowanie jej nauczycielka w pierwszej klasie dałaby jej dwóję! No i pani asystentka w celach wychowawczych w stosunku do córki, musiała postawić długi minus przy tej piątce, o czym opowiedziała głośno w obecności całej mojej grupy studenckiej. Już nawet teraz nie pamiętam, czy jej później wyjaśniłam, jaka była przyczyna mego wyjątkowego roztargnienia…

W dwa dni po naszym ślubie (była to niedziela) polska grupa studencka urządziła nam składkowe wesele w akademiku. Udało im się wynająć salę (świetlicę; ale nie w naszym akademiku, lecz innym, należącym też do naszej uczelni, nieco dalej). Zdążyli ją udekorować, przygotować muzykę, wspaniałe jedzenie, sporo alkoholi, oraz przypomnieć polskie obrządki weselne… Dostaliśmy wiele miłych prezentów. Jeden z nich, kryształowy wazon (nieco wyszczerbiony w czasie podróży przez Atlantyk) mam do dziś. W imprezie uczestniczyło ponad 50 osób w wieku studenckim (w tym również przyjaciele – Rosjanie i „demokraci" z innych zaprzyjaźnionych krajów) i chyba wszyscy dobrze się bawili.

Mimo wielu późniejszych życiowych problemów nigdy nie żałowałam naszej nagłej decyzji zawarcia ślubu ani tych 18-stu lat później przeżytych razem z Jurkiem. Żałowałam tylko, że tak nieoczekiwanie i niespodziewanie się urwały, o czym piszę poniżej.

W kilka dni po ślubie dostaliśmy pół pokoju! Dzieliliśmy ten pokój z małżeństwem Węgrów, co o tyle było dobre, że my nie rozumieliśmy co oni mówią do siebie, a oni nie rozumieli nas. Oczywiście wspólnym językiem był rosyjski do omawiania różnych wspólnych spraw. Szafy i wiszące koce izolowały tylko widok. Ale jakaż to była radość posiadania własnego „mini-mieszkania" po półtorarocznym dzieleniu go z tłumem innych nie zawsze przyjaznych ludzi! Te następne trzy, prawie że „miodowe" miesiące razem z mężem były wspaniałe, aczkolwiek nadal wypełnione intensywną pracą na uczelni. Jurek kończył dysertację magisterską, a ja miałam sesję zaliczeniową – sześć przedmiotów, a potem sesję egzminacyjną – cztery trudne egzaminy. Mieszkanie razem wcale nie zmniejszyło ani nie uszczupliło naszych inwestycji w Naukę, przeciwnie – pomagaliśmy sobie nawzajem dużo bardziej efektywnie, bo mieliśmy wreszcie własną przestrzeń, w tym – własne dwa stoły i dwa krzesła oraz ciszę w pokoju!

Jako prezent ślubny od Matki Jurka dostaliśmy pieniądze na zakup pralki elektrycznej (pralek w owych czasach jeszcze w Polsce nie było). Dowiedzieliśmy się, że w GUM-ie owszem, pralki są, i ten wielki „*Uniwermag*" otwiera się o 8-ej rano, ale uprzedzili też nas, że lepiej przyjść wcześniej. Po egzaminach, już w czasie mojej przerwy semestralnej na początku lutego 1955 roku pojechaliśmy na Plac Czerwony o 5-ej rano. Było okropnie zimno, pewnie około minus 20 stopni. Dookoła GUM-u, poprzez dwa kwartały ulic wiła się dość gruba kolejka tysięcy ludzi, czekających na otwarcie sklepu. Wokół kręcili się milicjanci, wyszkoleni w utrzymywaniu porządku kolejek. Zanim doszliśmy do końca kolejki byliśmy już dostatecznie zmarźnięci i zniechęceni, więc zawróciliśmy do metra. Szeregowi obywatele w tym kraju nie mieli wielkich szans…

Zakup lodówki został wkrótce urzeczywistniony poprzez Polską Ambasadę. Okazało się, że instytucje miały pierwszeństwo w zakupach i to bez żadnego wystawania w kolejkach.

Wkrótce Jurek obronił na piątkę swój dyplom magisterski i otrzymał stopień magistra inżyniera. Na początku marca 1955 roku wrócił Warszawy i rozpoczął pracę na Politechnice Warszawskiej jako asystent w Katedrze Metaloznawstwa oraz dodatkową pracę na pół etatu w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej.

A ja na następny semestr przeniosłam się do nowego pokoju w Akademiku MWTU; na szczęście zwolniło się jedno miejsce w 6-cio osobowym pokoju.

Oczywiście wtedy moja przyszłość nie była zupełnie wiadoma, bo z założenia, miałam studiować w Moskwie dalej przez następne 4 lata…

W czasie wakacji letnich 1955 roku udało się jednak oficjalnie załatwić moje przeniesienie. Na Wydziale Mechanicznym Technologicznym Politechniki Warszawskiej od roku istniał już Oddział Mechaniki Precyzyjnej z kierunkiem „Optyka", więc polskie Ministerstwo Szkół Wyższych zgodziło się na moje przeniesie-

nie (oszczędzili na stypendium, bo na Politechnice już mi go nie dali; po dwóch latach jednak, ze względu na moje dobre wyniki w nauce, zaczęłam otrzymywać dość spore „stypendium naukowe").

W podsumowaniu moich dwóch lat studiów na MWTU – były one bardzo intensywne, ale stosunkowo dobrze zorganizowane. Pomoc starszych kolegów odegrała ogromną rolę, szczególnie na początku. W sumie na 19 egzaminów w czterech sesjach, zdałam na piątkę 18 egzaminów, a jeden tylko na czwórkę. Zaliczeń było 34, z czego 6 zaliczyłam na piątki, 5 na czwórki, a reszta była zaliczana bez ocen (przechowałam do dziś indeks studencki z tych dwóch lat moich studiów na MWTU). Teraz, z perspektywy lat, aż trudno mi uwierzyć jak ja to zrobiłam – nie znając kraju, nie znając zwyczajów, nie znając języka…

Z liczby przedmiotów oraz ilości godzin wykładów i ćwiczeń, wynikało, że program nauczania na MWTU był dużo bogatszy, a poziom nauczania i wymagań dużo wyższy niż na Politechnice Warszawskiej, co skonfrontowałam wkrótce osobiście. Na przykład, z Wytrzymałości Materiałów, przedmiotu uważanego przez studentów za jeden z najtrudniejszych, na MWTU musieliśmy jako „prace domowe" w czasie semestru rozwiązać 100 zadań – tylko z jednego z rozdziału – obciążania belek (z innych rozdziałów zadawano podobne liczby zadań). Na Politechnice Warszawskiej wymagano od studentów rozwiązanie zaledwie 20 podobnych zadań. No i oczywiście, po rozwiązaniu 20 zadań, każde 21-sze było zupełnie nowym, natomiast po rozwiązaniu setki – nowe zadanie mogło być już tylko kombinacją poprzednich. W sumie, w porównaniu z MWTU – na Politechnice Warszawskiej miałam o prawie połowę mniej pracy, aczkolwiek wskutek różnic programu musiałam zdać dwa dodatkowe egzaminy – Termodynamikę i Metaloznawstwo, oraz odbyć kilkumiesięczną praktykę przemysłową.



Jurek i ja na Placu Zbawiciela w Warszawie; lipiec 1955 roku

Po roku, w czerwcu 1956 roku urodził się nasz jedyny syn, Roman.

Dyplom magistra inżyniera w specjalności „Przyrządy Pomiarowe" Politechniki Warszawskiej otrzymałam w marcu 1960 roku ze średnią wyników 4,83 i natychmiast rozpoczęłam pracę zawodową – rok w przemyśle, a potem przez blisko 20 lat w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie obroniłam doktorat i habilitację i wreszcie po latach, mieszkając i pracując już w USA, otrzymałam nominację profesorską od Prezydenta odrodzonej Polski.

Rozwód

Jak to często bywa u monogamistów, nagłe nowe zauroczenie odwraca o 180 stopni, czyli zupełnie odrzuca dawną miłość, odnajdując w nowej miłości zapomniane, nieco przykurzone i przybladłe z upływem czasu wzloty, albo wręcz odkrywając zupełnie nowe, nieznane, świeże, pasjonujące aspekty nowego obiektu zauroczenia. Tak się niestety stało z Jurkiem (szkoda, że mnie się to nigdy potem nie udało…).

Przed moim wyjazdem do Paryża na 3-miesięczny staż pod koniec 1971 roku, jak zwykle błagałam wszystkich naszych przyjaciół, by nie zapominali o Jurku i Romku, i mimo mojej nieobecności dostarczali im rozrywek, szczególnie, że zbliżały się Święta i Nowy Rok (zwykle, gdy mnie nie było w domu, to wszystko zamierało; zadymione papierosami mieszkanie zarastało pajęczynami i kurzem, oblepiało się wokół brudem – tak mi się przynajmniej wydawało po każdym poprzednim powrocie z podróży).

Dwa tygodnie przed moim powrotem z Paryża dostałam od Jurka krótki list, w którym pisał, że znalazł nową dziewczynę i zamierza się z nią ożenić, więc „jak chcesz zostać na zachodzie, to bardzo dobrze, bo tu już nie ma dla ciebie miejsca" – tak odczytałam między wierszami ten list. Był to dla mnie niespodziewany, szokujący cios obuchem w głowę. Telefonowałam – nie chciał nawet ze mną rozmawiać. Zaczęłam więc pisać do Jurka list – nie do wysłania, bo i tak już by nie doszedł przed moim powrotem, ale do odczytania – po powrocie. Bardzo przeżywałam, nie wiedząc nawet kim jest ta nowa dziewczyna i jak daleko posunął się już ich romans i wylewałam na papier to co czuję. W ciągu dwóch tygodni zrobiło się z tego listu kilkadziesiąt stron. Pisanie było zresztą dla mnie terapeutycznym uspokajającym zabiegiem. Wiedziałam też, że gdy

wrócę, to rozmowy z Jurkiem na ten temat byłyby bardzo emocjonalne, burzliwe, więc chciałam tego uniknąć i względnie spokojnie wylać wszystko na papier, proponując Jurkowi nowe przymierze.

Gdy wróciłam, Jurek nie tylko nie zamierzał ze mną rozmawiać, ale również nie chciał przeczytać tego listu. Wyprowadził się natychmiast z domu do swojej ukochanej, zabierając samochód (nowego Trabanta), radio z magnetofonem, książki, nasz ślubny dokument (*Swidietelstwo o brakie*) i wiele innych rzeczy, wśród nich – całą naszą 18-letnią korespondencję, którą niewątpliwie po drodze od razu wyrzucił na śmietnik. Niczym nie zasłużyłam na takie traktowanie, ogromnie to rozstanie przeżywałam przez następnych kilka lat.

Romek, nasz syn, również był zaskoczony takim nagłym obrotem spraw, bo ojciec go o niczym nie informował. Jurek chciał natychmistowy rozwód, bo ponoć przyrzekł swojej nowej ukochanej, że od razu się z nią ożeni. Ponieważ Romek miał wtedy blisko 16 lat, powiedziałam jednak jasno Jurkowi, że oficjalny rozwód może się odbyć dopiero za dwa lata, gdy Romek będzie pełnoletni, bo nie chciałam, by był on jakąś częścią sądowych przetargów. Jurek naopowiadał widać Romkowi wiele bzdur, że nasza rodzina była bardzo zła i dlatego zmienia ją na lepszą, w której będzie dla Romka wspaniałe nowe miejsce, w co Romek święcie wierzył. Przez następne dwa lata Jurek jednak nie zrobił w tym kierunku żadnego kroku i po prostu wcale się nie kwapił sprowadzać nastolatka do swego nowego gniazdka. Romek pozostawał ze mną, podczas gdy już sam jasno się wypowiedział (zapytany niefrasobliwie przez mego brata), że chce mieszkać na stałe z ojcem. Ja honorowałam tę Romka decyzję, bo uważałam, że młody człowiek w tym okresie wieku może dużo więcej zyskać od ojca niż od matki. Wcale nigdy nie namawiałam Romka, by pozostawał ze mną i z premedytacją starałam się być we wszystkim dla niego o kilka stopni zimniejsza, bo uważałam, że tak będzie lepiej, by szybciej, bezproblemowo i bez żalu mógł zaaklimatyzować się w nowej rodzinie. Po roku Roman zrozumiał wreszcie, że ojciec wcale nie miał najmniejszego zamiaru wziąść go do siebie; to było tylko takie puste gadanie. I tak – bardzo źle się stało, bo moje stosunki z Romkiem bardzo ucierpiały w owym czasie; mogłyby być dużo lepsze.

W dwa dni po osiemnastch urodzinach Romka w czerwcu 1974 roku przyszedł list od adwokata Jurka z pozwem rozwodowym. Byłam w tym czasie na urlopie na Węgrzech. Po powrocie, gdy Romek przyjechał po mnie na lotnisko, powiedział mi, że otworzył ten „podejrzany" list i ogromnie się zdenerwował, bo ojciec mu nic o wszczęciu tej sprawy nie raczył wspomnieć. Było duże zamieszanie, gdyż ja żadnego adwokata oczywiście nie miałam i musiałam wydzwaniać po wszystkich znajomych czy nie mogliby mi jakiegoś polecić. I w ten sposób wkrótce znalazłam dość „ostrą" babę-adwokatkę, która starała się mnie przekonywać co do najrozmaitszych aspektów sprawy. Ale wtedy mnie już tylko zależało, by ten rozwód jak najszybciej przeprowadzić. Po dwóch latach kompletnej separacji już nie było do czego wracać, a włóczenie się po sądach wcale mi się nie uśmiechało.

W miesiąc później odbyła się rozprawa. Sesja w sądzie trwała około 5-ciu minut. Znudzony pan sędzia miał widać stereotypową serię pytań. Zwrócił się do Jurka: – Jak długo powód znał żonę przed zawarciem ślubu? – na ogół prawdopodobnie rozwodził ludzi bardzo młodych, szybko po ślubie. Jurek nie był przygotowany na takie pytanie. Zaczął się jąkać: – …Rok… nie, dwa lata,... nie, 15 miesięcy… – A ja się w duchu śmiałam, bo jakież miało znaczenie to co było 20 lat temu i dawniej!! (Przeżyliśmy ze sobą zgodnie ponad 18 lat, a potem te dwa w separacji.) Więcej „podchwytliwych" pytań nie było, oporów z żadnej ze stron też nie.

I tak – zostaliśmy równie szybko rozwiedzeni jak szybko zostaliśmy zaślubieni. Ot – te kilka czy kilkanaście minut, drastycznie zmieniające życie człowieka…

Niewątpliwie jednak te ostatnie ponad dwuletnie przeżycia znacznie zmieniły mój charakter. Mimo ogromu tragedii nie załamałam się. Już nic potem nie wydawało mi się strasznym, bo to najstraszniejsze jakoś przeżyłam. Zaczęłam bardziej aktywnie myśleć o przyszłości i odpowiednio ją „reżyserować". Czułam się przecież odpowiedzialna za przyszłość Romka, mimo, iż był on już pełnoletni. W 6 lat później, w 1980 roku, tuż przed wybuchem Solidarności i następującym po niej Stanem Wojennym, wyjechałam na kontraktową pracę na Uniwersytet w Dayton (Ohio, USA) i wkrótce sprowadziłam tam również i Romka – wtedy studenta po 5-tym roku Matematyki. W rezultacie uniknęliśmy przeżywania w Polsce tych najstraszniejszych czasów powojennej historii kraju, które potem nastąpiły.

Romek otrzymał dyplom magisterski na Uniwersytecie w Cincinnati w 1982 roku.

Leningrad i Moskwa w 1966 roku

Wracam jednak jeszcze na chwilę do bardziej szczęśliwych czasów.

Jesienią 1965 roku Jurek dostał roczne stypendium po-doktorkie w ZSRR. Pojechał najwpierw na staż do Charkowa, potem do Leningradu (obecnie St. Petersburga), a ostatni etap miał być w Moskwie. Wiosną 1966 roku odwiedziłam go w Leningradzie, w tym pięknym mieście nazywanym Wenecją Północy. Pewne oznaki „odwilży" politycznej były wtedy w ZSRR widoczne.

Jurek, absolwent wydziału Metaloznawstwa MWTU, w ciągu kilku następnych lat przekwalifikował się na matematyka. Na kierunku Metaloznawstwa znalazł się zupełnie przypadkowo. Od początku miał studiować na kierunku „Matematyka Stosowana". Pierwsze dwa lata studiów na MWTU są jednakowe na wszystkich wydziałach, więc niby tymczasowo przypisano go do Metaloznawstwa. Po dwóch latach okazało się, że kierunek Matematyki Stosowanej jest „*zasekretczony*", czyli tajny, niedostępny dla cudzoziemców (nota bene co w tej „matematyce" mogło być tajnego?!! „Matematyka" zapewne była wyłącznie pseudonimem). Ciekawe jednak, że studenci rosyjscy z tego kierunku nie byli odseparowani i mieszkali w tym samym Akademiku co my, więc mogli być „podglądani" przez „nieupoważnione osoby" czego to tam się uczą… Może zresztą przesadzam, może zeszyty z notatkami z „tajnych" wykładów były rekwirowane po zajęciach i przechowywane w szafach pancernych uczelni, a w czasie przygotowywania się do egzaminów studenci byli zamykani w tajnych odgrodzonych od innych pomieszczeniach… W owym czasie wszędzie węszono szpiegów. W każdym zresztą pokoju, gdzie mieszkali cudzoziemcy, jeden Rosjanin był obowiązkowo kapusiem, który okresowo musiał składać władzom sprawozdania co robili i co mówili cudzoziemcy. Zaprzyjaźnieni Rosjanie w sekrecie opowiadali nam o tym (sądzę jednak, że przez 3 miesiące naszego mieszkania w połówce pokoju już chyba nas nie szpiegowano tak intensywnie…). ZSRR był typowym państwem policyjnym, szpiegującym i zastraszającym wszystkich.

I tak, mój mąż został metaloznawcą, ale natychmiast po studiach, pracując jako metaloznawca, zaczął się samodzielnie kształcić w matematyce. Matematyka była jego największą pasją życiową (obok papierosów, których ja nienawidziłam i które walnie przyczyniły się do rozbicia naszego małżeństwa; w istocie największym pozytywem naszego rozwodu był fakt, że rozwiodłam się z papierosami… i z teściową…). Wkrótce też Jurek obronił doktorat, potem habilitację z matematyki, dostał tytuł profesora i w sumie przez blisko pół wieku uczył studentów matematyki na Politechnice Warszawskiej.

Ale wracam do dawniejszych czasów w Leningradzie w 1966 roku. Ponieważ oboje biegle znaliśmy rosyjski mieliśmy szansę zwiedzenia tam wielu miejsc, które były dla cudzoziemców niedostępne. Tym razem już widocznie nie mieliśmy „aniołów stróżów" za nami, którzy niedopuściliby nas do „sekretów stanu".

Jednym z tych sekretów, o których tylko po cichu szeptano, były skutki jednostronnej i mało efektywnej strategii wojskowej ZSRR w Drugiej Wojnie Światowej, strategii, w której z ludźmi wogóle nie liczono się. W wyniku natarcia wojsk niemieckich i fińskich, Leningrad został w 1941 roku zablokowany od strony lądu i bronił się około 900 dni. W okresie blokady kontakty z krajem i zaopatrywanie miasta odbywały się drogą wodną przez jezioro Ładoga. Niestety zaopatrzenie to praktycznie sprowadzało się jedynie do zaopatrywania Leningradu w broń i amunicję. Nie zorganizowano masowej ewakuacji ludności cywilnej, a zaopatrzenie w żywność, środki medyczne i opał dla całego miasta, było bardzo niedostateczne, a ich dystrybucja źle zorganizowana. W rezultacie tego, jak również oczywiście wskutek ciągłych działań wojennych zginęło wtedy w Leningradzie od 0.7 do 1.5 miliona ludzi. Historycy dziś wciąż nie są zgodni co do liczby ofiar, bo przez wiele lat sowiecka propaganda ukrywała prawdę rozsiewając różne fałszywe dane o Leningradzie.



Piskarowski Cmentarz, na którym w zbiorowych grobach pochowano ponad pół miliona ofiar

Nie przyznając się do „cudzoziemskości" odwiedziliśmy wtedy z Jurkiem ogromny Piskarowski cmentarz ofiar wojny. Przewodnik, weteran tej wojny, opowiadał o nieludzkich warunkach, o bohaterstwie ludzi i niesamowitych tragediach tamtych dni.

Drugim niedostępnym dla cudzoziemców miejscem było Muzeum Religii i Ateizmu, przewrotnie i z przekory umieszczone we wnętrzu ogromnego klasycystycznego byłego Ortodoksyjnego Soboru pod wezwaniem Naszej Pani Kazańskiej.

Wzorując się na Katedrze Świętego Piotra w Rzymie, Sobór ten został zbudowany w latach 1801-11 przez architekta Andreja Woronikina jako świątynia cudownej ikony Kazańskiej Matki Boskiej z Dzieciątkiem (*Kazanskaja Bogomatier'*). Ikona ta uważana była za cudowną, czyniącą cuda i w szczególności – gwarantującą Rosji pokój i dobrobyt. Pochodząca prawdopodobnie z Bizancjum, z okresu początków chrześcijaństwa, ukryta podczas tatarskich wojen, zapomniana, wreszcie wykopana została spod ziemi w Kazaniu w 1579 roku na skutek proroczego snu małej dziewczynki, która wskazała miejsce. Od tego czasu Kazańska Matka Boska chroniła skutecznie Rosję przed najazdami.

Polski Papież John Paul II uważał, że podczas zamachu w 1981 roku zawdzięczał swe życie opiece Kazańskiej Matki Boskiej, do której się modlił. W 1993 roku Papież dostał w prezencie od Patriarcha Kościoła Grecko-Katolickiego Rosji kopię tej ikony, wykonaną w 18 wieku. Zdobiła ona jego sypialnię aż do śmierci Papieża.



Sobór Kazańskiej Matki Boskiej w Petersburgu

Po zwycięskiej wojnie napoleońskiej Sobór Kazańskiej Matki Boskiej w Petersburgu uznano za pomnik Patriotycznej Wojny 1812 roku. Sam legendarny wódz Rosjan, marszałek Kutuzow został pochowany w tym soborze, a jego pomnik stoi przed Soborem.



Cudowny obraz Kazańskiej Matki Boskiej z Dzieciątkiem

Natychmiast po Rewolucji Październikowej rząd ZSRR zadeklarował powszechny ateizm jako normę państwową i konsekwentnie zaczął zwalczać i eliminować wszelkie aspekty związane kościołem i wiarą. Luka, która niechybnie powstała, była wypełniana licznymi nowymi komunistycznymi ikonami, sloganami i rytuałami. „Świętość" i „wiara" zostały zinterpretowane od nowa w stylu komunistycznym. Jednym z ważnych celów ateistycznej propagandy było spowodowanie, by ludzie wierzyli, że nie istnieje ani niebo, ani piekło, i że nie istnieje coś takiego jak spłata karmy, czy pokutowanie za grzechy, po to, by ludzie nie byli ograniczani w czynach przez swoje własne sumienia. Słabościami ludzkiej natury można manipulować i komuniści używali pełnej palety zastraszania i wabienia pokusami, by efektywnie kontrolować naród. Ludzie głęboko wierzący, są w stanie wyjrzeć poza życie i śmierć, traktując kanony religii jako opiekę, tarczę. Mniej są zwodzeni przez świat doczesny. Dużo też lżej podchodzą do pokus świata materialnego oraz zagrożenia wobec ich własnego życia, co powodowało, że Partia Komunistyczna stawała się bezsilna w swoich próbach manipulowania nimi. Tak na przykład było w Polsce, w której komunizm w latach 1945-1990 istniał bardzo powierzchownie. (Według starego dowcipu – Polacy w czasach komunizmu byli porównywani do rzodkiewek: czerwoni na zewnątrz, a biali wewnątrz; po 1989 roku cienka czerwona otoczka dość łatwo odpadła.)



Hellenistyczne motywy w Kazańskim Soborze

Muzeum Religii i Ateizmu, umieszczone w leningradzkim Soborze Kazańskiej Matki Boskiej, które powstało w 1932 roku z inicjatywy organizacji o nazwie Ligi Walczących Bezbożników, zostało stworzone również w celu dydaktycznym wypełniania luki po wyeliminowaniu wiary i Kościoła. W muzeum zostały przedstawione liczne religie i wierzenia w sposób wyszydzający samą istotę wiary. Zamysłem twórców tego muzeum było, by zwiedzający mieli odnieść wrażenie, że ludzie wierzący są głupi, są zacofani, hipokrytyczni i amoralni (przytaczając różne prawie-pornograficzne obrazy, na przykład tłustych duchownych uganiających się za dziewczynami).

Już przy wejściu, koło kasy witał zwiedzających ogromny napis autorstwa Karola Marksa: „Religia to opium dla mas".

W Soborze-muzeum, w którym ciągle dominowała kościelna przestrzeń – bogaty wystrój ścian, mozajki podłogowe i wielkie kolumny, wyłożone wypolerowanymi płytami kolorowego, często różowo-fioletowego marmuru – przedstawiono, w sposób wyszydzający, kolejne kolekcje najróżniejszych atrybutów wszystkich głównych religii świata, od rozmaitych odmian Pogaństwa i Szamanizmu poprzez Judaizm, Chrześcijaństwo, Islam, Buddyzm, Katolicyzm, do wszystkich nowszych religii chrześcijańskich, oraz różnych odłamów religii uprawianych przez narody ZSRR. Każda kolekcja atrybutów, wśród których znajdowały się nawet mumie, opatrzona była w odpowiednio dopasowane objaśnienia, najczęściej ironicznie wyszydzające. Dodatkowo, przewodnicy muzeum oprowadzający grupy, udzielali wyjaśnień.

Niektóre ekspozycje oraz objaśnienia przewodniczki były wręcz szokujące.

W jednej z oszklonych gablotek leżała dziewczęca granatowa sukienka szkolna wywrócona na lewą stronę. Przystanąwszy przy tej gablocie przewodniczka powiedziała, iż mimo wdrożeń ateizmu w ZSRR, zdarzało się, że starsi ludzie pozostawali wierzący, i co gorsze, uczyli wiary swoje dzieci. – I oto tu właśnie leży sukienka 8-mioletniej dziewczynki. – kontynuowała przewodniczka. – Jak widać, w szew tej sukienki wszyty został złoty łańcuszek z medalikiem i krzyżykiem – (jako oczywisty dowód potajemnego uprawiania religii).

– W szkole skonfronowano ten fakt i dziewczynka została odebrana matce i następnie skierowana do Domu Dziecka na przyzwoite i właściwe socjalistyczne wychowanie, a matka została odpowiednio ukarana! – radośnie i z przekonaniem kontynuowała przewodniczka.



Front Soboru Naszej Pani Kazańskiej z 96-ma neoklasycystycznymi korynckimi kolumnami i pomnikiem Kutuzowa

A mnie stanął wtedy przed oczyma obraz brutalnego zdzierania sukienki z tej biednej dziewczynki oraz jej późniejszego życia w bezimiennej, beznadziejnej i zastraszającej komunie Domu Dziecka, oraz obraz jej nieszczęsnej matki zesłanej do gułagu… A może zresztą ten złoty kosztowny łańcuszek był jedynym skarbem rodziny, bogactwem przechowanym „na czarną godzinę" od pokoleń, od czasów zamożności rodziny jeszcze przed rewolucją…? Przechowywany właśnie przez wszywanie w szwy kolejnych ubrań członków rodziny, aby się nie zapodział w wojennych zawieruchach, czy też aby pospolity złodziej go nie ukradł…?

Wyniosłam z tego muzeum jak najgorsze wrażenia.

Obecnie muzeum to nadal istnieje. Przeniesiono je tylko w inne miejsce, a Soborowi Naszej Pani Kazańskiej przywrócono jego poprzednią desygnowaną rolę.

W czasie tygodnia spędzonego w Leningradzie w 1966 roku zwiedziliśmy również wiele innych ciekawych objektów tego pięknego miasta – pałace, pomniki, cerkwie zwykle przerobione na muzea, słynny pancernik „Aurora", który rozpoczął rewolucję Październikową, oraz wspaniałe ulice-prospekty i kanały.



Plac Pałacowy z kolumną Aleksandra w Leningradzie



Pałac Zimowy, obecnie Ermitaż



Ermitaż: Malachitowa waza wysokości 2 metrów



Pałac Smolny

Z Leningradu pojechaliśmy z Jurkiem do Moskwy, gdzie miał on odbywać dalszy staż.

Mieliśmy numer służbowego telefonu małżeństwa Rosjan pracujących w jednym przedsiębiorstwie, przyjaciół męża z grupy studenckiej, z którymi Jurek bardzo był zżyty i z którymi trochę korespondowaliśmy po

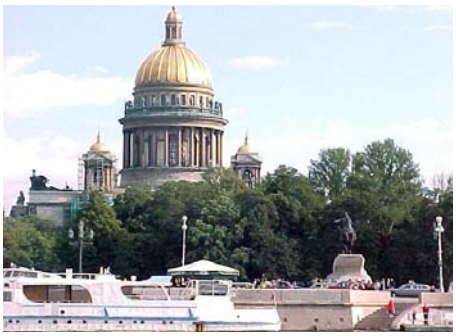
powrocie do Polski, więc zadzwoniliśmy do nich. Powiedzieliśmy, że jesteśmy przejazdem w Moskwie i po 13-stu latach chcielibyśmy się z nimi zobaczyć, porozmawiać, poznać ich dzieci, rodzinę. Przyjaciel Jurka, Sieroża, wydawał się zdumiony i nieco zaambarasowany tym telefonem. Poprosił, byśmy zadzwonili jeszcze raz za godzinę.



Sala świateł w Pałacu Katarzyny II



Pałac Stroganowych. Słynna potrawa „Boeuf Stroganow", składająca się z wołowej polędwicy, grzybów, cebuli, makaronu i sosu śmietanowego, została przyrządzona w 1890 roku przez kucharza pracującego u generała Pawła Aleksandrowicza Stroganowa i zgłoszona na konkurs kucharski w Petersburgu.



Ogromny Sobór Świętego Izaaka o wysokości 102 metrów



Pancernik „Aurora"



Odnowiona obecnie Newska Ławra



Wnętrze Soboru Św. Izaaka



Fragment elewacji Newskiej Ławry



Newski Prospekt w St. Petersburgu



Pomnik Katarzyny II



Pomnik Piotra I Wielkiego

W owych czasach polski komunizm znaczne zelżał; poprzednia bardzo intensywna „walka klasowa", nieco przycichła, Urząd Bezpieczństwa już nie czepiał się tak bardzo wszystkiego i wszystkich, zaopatrzenie też się poprawiło i życie w komunie stawało się coraz mniej uciążliwe. Wydawało się, że proces „odwilży", który rozpoczął się po śmierci tyrana-Stalina jest nadal, podobnie jak w Polsce, kontynuowany w ZSRR.

Chruszczow, kolejny po Stalinie i Malenkowie komunistyczny przywódca ZSRR, już w 1956 roku na zjeździe partii wygłosił sławny referat, wyliczający zbrodnie i pomyłki Stalina, czym zupełnie pomieszał w głowach swoim współziomkom. Wkrótce też, w oparciu o aparat partyjny, zaczął przeprowadzać destalini-

zację. Niestety wdrażanie jej w ZSRR ograniczały jednak ważne okoliczności: po pierwsze – współwinnym zbrodni był sam Chruszczow i wielu popierających go działaczy; po drugie – dość już długie czasy stalinowskie uformowały mentalność milionów obywateli ZSRR („*homo sovieticus*"), do czego przyczyniła się bardzo II Wojna Światowa i po trzecie – w interesie aparatu partyjnego było utrzymanie ukształtowanego w czasach Stalina zarówno modelu politycznego jak i gospodarczego.

Będąc wtedy w Moskwie, praktycznie nie wiedzieliśmy jednak jak daleko zaszły „odwilżowe" zmiany w ZSRR. Nie sądziliśmy, by nasz niespodziewany telefon do przyjaciół mógł wywołać jakikolwiek problem.

Po godzinie zadzwoniliśmy ponownie. Sieroża odpowiedział, że tak, z przyjemnością się zobaczymy wieczorem i podał adres swego mieszkania oraz opis jak tam dotrzeć. Pojechaliśmy. Przyjęli nas bardzo serdecznie, przedstawili dzieci, poczęstowali kolacją, słuchali naszych opowieści. Późnym wieczorem odprowadzili nas do stacji metra. Po drodze, rozglądając się dookoła, czy ktoś nie podsłuchuje, powiedzieli nam, że wprawdzie bardzo miło im było z nami się zobaczyć, ale proszą nas bardzo, by nie powtarzać więcej takich wizyt. Oboje pracują bowiem w „*zasekretczonym*", tajnym przedsiębiorstwie i po naszym telefonie oboje musieli udać się „na dywanik" do swoich sekretarzy partii, by zapytać co w takiej sytuacji należy zrobić. Bo z zasady nie wolno im było komunikować się z jakimikolwiek obcokrajowcami. Oboje dostali wyjątkowe jednorazowe pozwolenie, ale prawdopodobnie zostało ono natychmiast wpisane do ich akt jako duży negatyw i nie wiadomo czy następnym razem coś sie nie zmieni i że nie chcą więcej ryzykować. Mówili to nam w ogromnej tajemnicy, rozglądając sie dookoła, bo tego im powiedzieć nie było wolno. W czasie naszej wizyty w ich mieszkaniu niewątpliwie cały czas pracował magnetofon, a nagranie wkrótce znalazło się na biurku sekretarza partii…

No coż. W ten sposób dowiedzieliśmy się nieco o realnym „postępie destalinizacji" w ZSRR.

Słyszałam w owych czasach w Polsce anegdotyczną historyjkę o dwóch Polakach, którzy pojechali służbowo do Moskwy. Pierwszą rzeczą, którą zrobili oni wylądowawszy w pokoju hotelowym, do którego ich skierowano (zwykle cudzoziemców kierowali do specjalnie wyposażonych hoteli i pokoi), było poszukiwanie nadajników, nazywanych „pluskwami". Wiadomo było, że cudzoziemców w hotelach zawsze dobrze szpiegowano, ale ci panowie chcieli przechytrzyć system. Przeszukali w tym pokoju drobiazgowo wszystkie meble, ściany, framugi drzwi i okien i nic nie znaleźli, aż wreszcie odchyliwszy dywan leżący na środku pokoju, zobaczyli wielką metalową płytę przykręconą do podłogi. – Acha!! Tutaj je mamy!! – i zabrali się do odkręcania śrub tej płyty (byli dobrze zaopatrzeni w odpowiednie narzędzia). Po odkręceniu śrub, posłyszeli jakiś trzask, ale płyta nie dawała się unieść by, jak sądzili, znaleźć pod nią te poszukiwane „pluskwy". Tymczasem posłyszeli dobijanie się do drzwi. Zakryli szybko płytę dywanem. W drzwiach stało pięciu pracowników hotelu z przerażonym menadżerem na czele: – Co wyście tu zrobili, dlaczego odkręciliście śruby?!! Wielki kryształowy żyrandol w sali bankietowej na dole spadł!!

Tak niespodziewanie skończyło się poszukiwanie sowieckich pluskiew. Zdaje się, że była to pierwsza i ostatnia podróż tych panów do owego kraju „ogólnej szczęśliwości"…

Mimo pewnego postępu w „destalinizacji", ZSRR był ciągle państwem policyjnym, zastraszonym i zastraszającym, węszącym wszędzie szpiegów. Rząd ZSRR poprzez koszmarnie zbiurokratyzowaną administrację kontrolował wszystko i penetrował każdy aspekt życia kraju. Kontrolował przede wszystkiem plan ekonomiczny (sławetne Pięciolatki), bazowany na przemyśle ciężkim, w tym – na rozbudowanym przemyśle wojskowym. Kołchozom i sowchozom, jedynym producentom żywności również narzucał plany produkcji, nie licząc się wcale z realiami ani z kaprysami Natury. Gdy był nieurodzaj, tysiące kołchoźników przypisanych do ziemi poprostu umierało z głodu i nikt tym się nie martwił, ot – przechodziło się do porządku dziennego. Ludzie byli zastraszeni, nie wolno im było wykazywać własnej inicjatywy, czyli w rezultacie kraj uszczuplał swoje największe zasoby – ludzką wiedzę, mądrość, przedsiębiorczość, inwencję. Gdy w czasach zimnej wojny rząd sowiecki zaczął intensywnie rozwijać program kosmiczny, okazało się, że brakuje dobrych inżynierów, konstruktorów. Przeczesano wtedy wszystkie gułagi i wyciągnięto stamtąd najzdolniejszych ludzi, których tam poprzednio zesłano właśnie za ich przymioty wiedzy, mądrości, przedsiębiorczości, inwencji. Na przykład gułagową przeszłość mieli Andrei Tupolew – późniejszy konstruktor serii samolotów „Tupolewów" oraz Segiej Korolow – konstruktor pierwszych rosyjskich sputników…

Niski standard życia w ZSRR można wytłumaczyć za pomocą nieco dopasowanych do tego zagadnienia trzech praw Termodynamiki. Pierwsze prawo termodynamiki mówi, że nie można otrzymać więcej energii

z danego układu niż się temu układowi dostarczyło. W ZSRR komuniści odebrali dobra i majątki ludziom bogatym, ale tego bogactwa oczywiście nie starczyło dla wszystkich biedniejszych, by stali się bogatymi. Drugie prawo mówi, że część energii jest zawsze rozpraszana, tracona. To znaczy, że gdy bogactwa były odbierane i potem rozdawane, to część ich znikła (na lewo, na „rozkurz"). Trzecie prawo termodynamiki rozszerza dwa poprzednie na cały wszechświat. Czyli nawet sprowadzanie dóbr do ZSRR z zagranicy, jak również rozszerzanie idei komunistycznej po świecie, niczego nigdy nie rozwiązywało i nie rozwiąże.

Zagorsk, czyli Segijew Posad

Podczas gdy ogromna większość cerkwi i soborów w ZSRR została zniszczona lub zamieniona na budynki świeckie, duży kompleks cerkwi i klasztorów w niewielkim miasteczku niedaleko Moskwy, Zagorsku, ocalał i w ciągu całego okresu istnienia ZSRR w sposób ciągły prowadzono tam służby sakralne i nawet w najgorszych czasach przybywało tam wielu pielgrzymów nie tylko by się modlić i uczestniczyć w tradycyjnych obrządkach, ale również, by napić się „cudownej wody" z wytryskającego z ziemi Zagorska źródła. Legendarna święta woda źródlana w Zagorsku miała ponoć uzdrawiać niepłodność.

Najwyraźniej Stalin był przesądny i poprostu bał się naruszyć to od sześciu wieków istniejące „święte" miejsce Rosji. Nota bene, gdy hitlerowskie wojska docierały już do Moskwy, to Stalin zgodził się na otworzenie jednego z zabitych deskami kremlowskich Soborów w celu odprawiania nabożeństw za ojczyznę… „Jak trwoga, to do Boga", mówi stare przysłowie.

Zagorsk, a właściwie już nie Zagorsk, lecz Segijew Posad, osada Sergijewa, bo tak od 14-go wieku to miejsce się nazywało (i od 1991 roku znów tak się nazywa), oddalona od krańców Moskwy o 60 km w kierunku Jarosławia, była przez wiele wieków duchową stolicą Rosji.



W drodze do Ławry Troicko-Sergijewskiej

Osada ta swoją nazwą „Sergijew" upamiętniła mnicha Sergieja Radożeńskiego (urodzonego w Radoneżu, niedaleko), który w 1340 roku zbudował tam drewniany kościółek, tworząc podwaliny klasztoru i który nieco później stał się Świętym Sergiuszem. Święty Sergiusz, który zainicjował zjednoczenie się Rosjan i błogosławił rosyjskie wojska maszerujące by walczyć z Mongołami, okupującymi Rosję w 14-ym wieku, został też wkrótce patronem Rosji.

Przez 60 lat istnienia ZSRR, a dokładniej w latach 1930-1990 miasteczko to nazywało się „Zagorsk" na cześć komunistycznego działacza, Władimira M. Zagorskiego, Sekretarza Partii w Moskwie, który zginął w 1919 roku. Obecne młodsze pokolenie wogóle nie znało starej, historycznej nazwy tej miejscowości i teraz nadal potocznie, równolegle z Sergijew Posad, używa się nazwy „Zagorsk".



Sobór Troicki oraz kaplica Nikona w Zagorsku

Mimo licznych wojen i rewolucji, a potem ponad 70-cioletniej dyktatury ateistycznych komunistów jakoś niektóre stare, małe miasteczka w Rosji przetrwały i zdołały zachować swoje historyczne skarby. Właśnie takim wielkim skarbem Rosji jest osada Sergijew. Już w 1380 roku Klasztor, a od roku 1744-go Ławra (co znaczy „najważniejszy, wiodący klasztor"), Ławra Troicko-Siergiejewska była znana w Rosji i wysoko ceniona. Jak wynika z zachowanych dokumentów, już w 1367 roku, przed bitwą pod Kulikowem, Moskiewski Książe Dymitr Doński pojechał do niej, aby otrzymać błogosławieństwo od Przeora Ławry. W 16-ym wieku, za panowania cara Iwana Groźnego, Ławra została obwarowana murami obronnymi i wytrzymywała potem oblężenia wielu wojsk (w tym również i polskich…). Pod koniec 17-go wieku młody jeszcze car Piotr I Wielki znajdował schronienie w tym klasztorze podczas buntów strzelców (oddziałów specjalnych rosyjskiej piechoty).

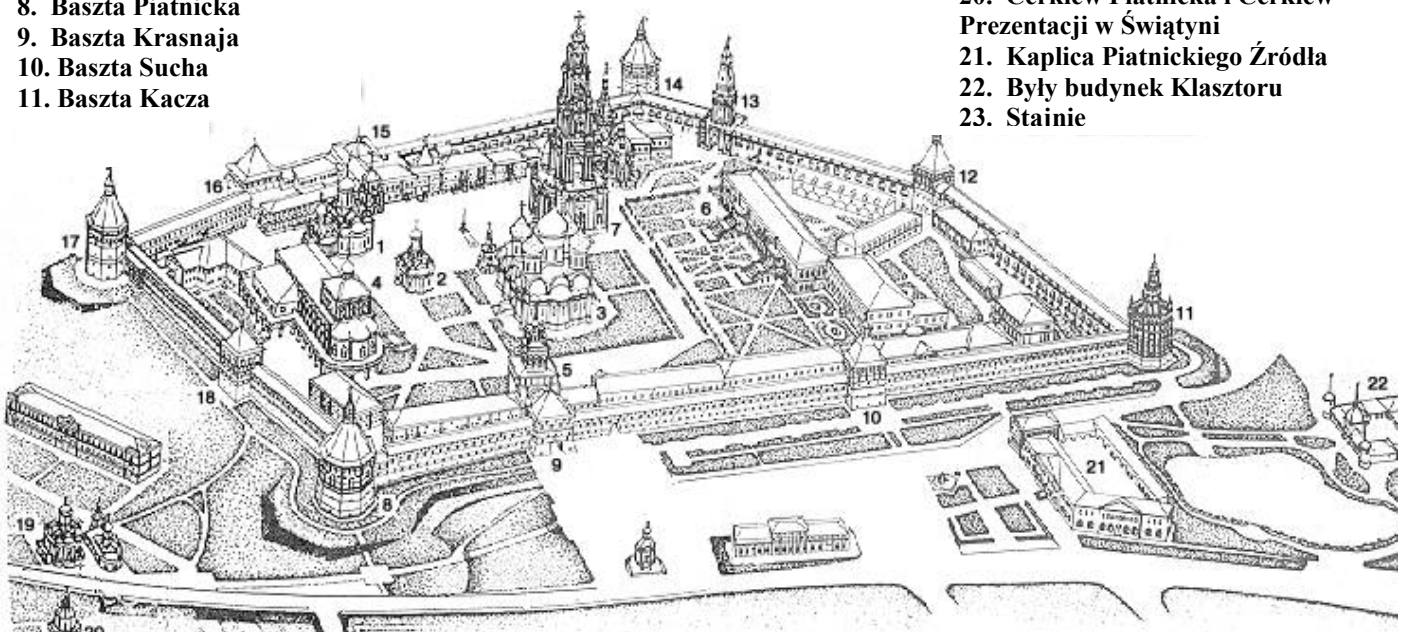


Wnętrze Soboru Troickiego w Zagorsku

Po Drugiej Wojnie Światowej Zagorsk stał się tolerowanym, aczkolwiek nie propagowanym centrum Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, oficjalną rezydencją Patriarcha tego Kościoła i miejscem pielgrzymek, z których największą była i jest pielgrzymka w okresie Zielonych Świątek, pielgrzymka na Festyn Świętego Sergiusza.

Ławra jest dość rozległa. W jej skład wchodzą sobory – Troicki (z 15-go wieku, zbudowany ponad grobowcem Świętego Sergieja i zawierający obrazy A. Rublowa, słynnego malarza rosyjskiego) oraz Uspieński (z 16-go wieku, w którym znajduje się grobowiec rodzinny cara Borysa Godunowa). Ponadto – cerkiew Świętego Ducha z 15-go wieku i Zosimy z 17-go wieku, cerkiew Smoleńska z 18-go wieku; refektarz z cer-

1. Sobór Troicki (15 w.)
2. Cerkiew Świętego Ducha
3. Sobór Uspieński (16 w.)
4. Refektarz
5. Cerkiew Narodzenia Świętego Jana Babtysty
6. Pałac cesarski
7. Dzwonnica
8. Baszta Piatnicka
9. Baszta Krasnaja
10. Baszta Sucha
11. Baszta Kacza
13. Baszta Dzwonkowa
14. Baszta Pielgrzymów
15. Baszta Stolarska
16. Baszta Piwniczna
17. Baszta Piwna
18. Baszta Wodna
19. Baszta Cebulowa
20. Cerkiew Piatnicka i Cerkiew Prezentacji w Świątyni
21. Kaplica Piatnickiego Źródła
22. Byly budynek Klasztoru
23. Stainie



Mapa Ławry Troicko-Siergiejewskiej w Zagorsku – Sergijew'ie Posad'dzie



Sobór Uspieński

kwią i pałac carski Czertogi z 17-go wieku, kaplica Nadkładieznaja z 17-go wieku oraz dzwonnica z 18-go wieku i mury obronne z basztami z 16-go i 17-go wieku. Na terenie Ławry znajduje się obecnie Muzeum historyczno-artystyczne. W jednym z zabudowań Ławry znajduje się Seminarium Duchowe oraz Akademia Teologiczna. Natomiast drewniany kościółek zbudowany przez Świętego Sergieja już od dawna nie istnieje: zniszczyli go Tatarzy już w 1391 roku.



Grobowiec rodzinny Cara Borysa Godunowa

Architektura Ławry odzwierciedla sześć wieków wspaniałej finezyjnej rosyjskiej sztuki. Każdy objekt kultu ma nieco inną architekturę i wystrój, ale w

sumie Ławra przedstawia unikalną kolekcję. Wreszcie po roku 1990-tym Ławra doczekała się szerokiego uznania stając się oficjalnym „Narodowym Skarbem" Rosji.

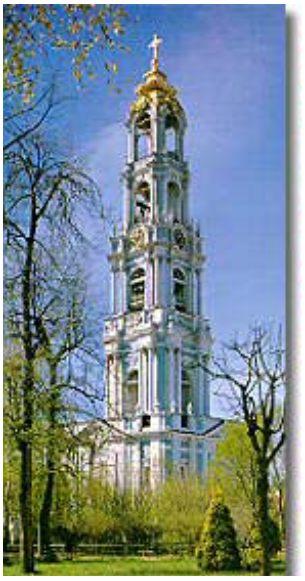
W Rosji istnieją cztery Ławry, lecz Ławra Troicko-Siergiejewska jest uważana za „Rosyjski Watykan".



Targowisko przed Ławrą



Cerkiew Bożego Narodzenia



Dzwonnica



Zagorskie suweniry



Święcona woda z cudownego źródła



Fragment Refektarza



Matrioszki



Panorama Ławry na tabakierce Fedoskino

W samej osadzie Sergijew mieszka teraz blisko 120 tysięcy ludzi i obok przemysłu maszynowego, chemicznego i materiałów budowlanych, znajduje się w niej duży ośrodek ludowego rzemiosła, wyrobów rzeźbionych w drzewie, kości i innych.

Na placach przed Ławrą rzemieślnicy i handlarze rozkładają na stołach i oferują turystom i pielgrzymom najrozmaitsze rzeźbione i kolorowo malowane figurki, zabawki i drobne pamiątki, na przykład tradycyjne wieloczęściowe „Matrioszki" oraz wspaniałe kolorowe pięknie wymalowane pudełka z laki, papier-maché lub drewna, malowane przez artystów ze słynnych wiosek Fedoskino i Paleh'a. Ta ostatnia wioska znana już była w 16-ym wieku: urodzeni tam artyści odnawiali stare ikony i malowali nowe, a wioska Fedoskino zasłynęła w 18-ym wieku z produkcji lakierowanych tabakierek.



Autorka z Donem Bently przed Soborem Troickim

Dziś wahlarz ich wyrobów ogromnie się zwiększył i wszystkie wyroby mają nadal bardzo wysoką markę.

Gdy w 1995 roku zwiedzaliśmy Ławrę Sergijev Posad z jego soborami, cerkwiami, dzwonnicami, murami obronnymi i basztami, byliśmy zauroczeni tym miejscem, a w szczególności faktem, że przetrwało ono w całości ten nieludzki 70-cioletni komunistyczny terror. Było to zapewne zasługą wielu pokoleń niezwykłych, nieprzeciętnych ludzi. Atmosfera tego miejsca jest ciągle przeładowana ogromnymi emocjami.

Osada Sergijev jest z jedną z szeregu osad i miasteczek dookoła Moskwy, powstałych między wiekami 11-tym a 17- tym, tworzących tak zwane „Złote koło". Są to Rostów, Władimir, Suzdal, Peresławl Zalesski, Kostroma i Iwanowo. Były one warownymi miasteczkami, chroniącymi Moskwę przed wrogami. Mimo wielu historycznych zawieruch i huraganów dziejowych oraz ostatniego najgorszego okresu sowieckiej „tyranii ateistycznej", te małe rosyjskie miasteczka szczęśliwie przetrwały, konserwując przynajmniej część wiekopomnych historycznych pomników i zachowując melancholijną atmosferę przeszłości. Miasteczka te zawierają stare Kremle (zamki warowne), cerkwie i klasztory, oraz w nich – resztki bogactwa: dawne hojne dary otrzymywane od możnych carów, bogatyrów i kupców, poszukujących w klasztorach i cerkwiach wsparcia i pociechy duchowej.

Dzisiaj, otwarte dla turystów miasteczka te stanowią jakby „muzea pod gołym niebem", w których zachowała się klasyczna rosyjska architektura i sztuka. Te miasta są odzwierciadleniem dramatycznych wydarzeń na przestrzeni wieków i przypominają o czynach i osiągnięciach ludzi-bohaterów, którzy przez stulecia wypełniali historię Rosji. Teraz wreszcie, gdy Rosjanie mają więcej swobód i mogą podróżować po własnym kraju, zaczęli oni odkrywać od nowa swoje prawdziwe historyczne i kulturowe dziedzictwo, przerabiane oraz podrabiane przez komunistów i wciskane ludziom w głowy ponad 70 lat.

Również coraz więcej turystów z zagranicy przybywa do Rosji, by zapoznać się z tym odrodzonym krajem.

Przed 15-ma laty szeregowym obywatelom w ZSRR, jak również studentom zagranicznym i wogóle cudzoziemcom nie wolno było jeździć po kraju; nawet niedalekie wycieczki za miasto nie były dobrze widziane. A już na dalsze wycieczki trzeba było obowiązkowo mieć zezwolenie władz. Indywidualni obywatele ZSRR nie powinni „bez celu" się szwędać po kraju! Dopuszczalne były zbiorowe, usankcjonowane przez władze i dobrze kontrolowane podróże. A cudzoziemcy dostawali wizę nie do państwa ZSRR, lecz tylko do szczególnego miasta w tym kraju, więc nie wolno im było robić wypadów do innych miast (chyba, że znowu otrzymywali specjalne pozwolenia od władz). Chodziło o to, by nie zobaczyli czegoś tam specjalnego, albo tajnego i nie wyciągneli wniosków, które władza uznawała za szkodliwe dla jej „racji stanu".

Będąc na studiach w Moskwie słyszeliśmy po cichu trochę o Zagorsku, które było przez wiele wieków duchową stolicą Rosji, ale oczywiście odwiedzenie tego miejsca nie było możliwe. W Zagorsku znalazłam się dopiero w 1995 roku, już po wielkich przemianach w tym kraju. Natomiast moi przyjaciele – Lewuś z żoną Ewką zdołali dotrzeć tam nielegalnie już w 1967 roku. Przytaczam poniżej ich relację, bo ilustruje ona smutne realia prowincji ZSRR.

Oboje Lewuś z Ewą pojechali z Warszawy do Moskwy w odwiedziny do przyjaciół, pracujących w polskiej Ambasadzie. Po zwiedzeniu samej Moskwy, przyjaciele zasugerowali im podróż do Zagorska i wytłumaczyli im dokładnie jak zrealizować tę podróż, by uniknąć tarapatów. Zaprosili na tę wycieczkę jeszcze jedną polską koleżankę. Na moskiewskim dworcu kolejowym w specjalnej kasie należało kupić bilety. Lewuś, słabo znający rosyjski, długo i mozolnie uczył się na pamięć zdania: „*Tri do Zagorska, tuda i abratno*" (trzy do Zagorska, tam i spowrotem), żeby brzmiało to dostatecznie rodowicie po rosyjsku. Tymczasem od razu natknął się na przeszkodę: kasjerka zaczęła coć do niego mówić i nie chciała przyjąć banknotu wielorublowego, prawdopodobnie nie mając drobnych na wydanie. W cudowny sposób Lewuś domyślił się o co jej chodzi i bez słowa wyciągnął z kieszeni garść banknotów i kopiejek, z której wreszcie kasjerka wygrzebała co potrzeba. Zdobyli więc bilety i później prawidłowo zidentyfikowali pociąg, którym należało jechać. W pociągu siedzieli cicho, bo przecież jechali nielegalnie i ktoś mógłby ich zadenuncjować.

Na stacji w Zagorsku wysiedli i chcieli się załatwić. Normalna, naturalna wydawałoby się sprawa. Owszem, kierując się głównie węchem, znaleźli drogę do toalet „*Mużczyny*" i „*Żeńszczyny*", przed drzwiami których stały długie kolejki. W męskiej toalecie okazało się jednak, że cała podłoga, aż do wysokiego betonowego progu przy wejściu, była zalana na wysokość kilkunastu centymetrów – czy to wodą, czy raczej czymś jeszcze gorszym, w każdym razie wręcz była nie do przebrnięcia bez uszczerbku. Żeby dodać tej scence je-

szcze pełniejszego obrazu miejscowego „folkloru", ciekawego dla nie-tubylców – tuż przy drzwiach w tej „wodzie" leżał jakiś dziad, prawdopodobnie pijany i chrapał, przekręcając w zamroczeniu głowę, tak by nos znajdował się nieco powyżej poziomu „wody". Widok ponoć niezapomniany.

Natomiast Ewa, z koleżanką w damskiej toalecie, odczekawszy się w długiej kolejce miała inną przygodę. Najwpierw obie przeżyły szok jak ta toaleta wyglądała: normalka radziecka – kilka dziur w podłodze w niewielkim otwartym pomieszczeniu – tego jeszcze przedtem te Panie nie widziały. Rosjanki swoje „drażliwe" sprawy załatwiały bez żadnej żenady, zadzierając spódnice do góry i kucając nad dziurami. Oczywiście inekspymabli (żeby nie powiedzieć wulgarnie, majtek) nie nosiły. A tu, aby załatwić potrzebę naturalną, Ewka z koleżanką musiały spuścić w dół pachnące zachodem jedwabne czy nylonowe… coś, czego te *babuszki* wokół w życiu nigdy nie widziały i pewno nie wiedziały nawet, że „to" istnieje i nosi się. Ze dwadzieścia bab rzuciło się z ciekawością otaczając je ciasnym kręgiem i koniecznie chciały dokładnie obejrzeć i pomacać z czego „to" było zrobione i jak „to" wygląda z bliska. Przy okazji macały też materiały innych części ich ubrań, które wyglądały zupełnie inaczej, nie tak jak te zgrzebne, rodzime… Już przy wyjściu, gdy Ewka z koleżanką opuszczały wreszcie ten przybytek, baby rzuciły się całować, jakby z czcią, rękawy i ramiona ich ubrań! Ewka jak zawsze była zrównoważona i specjalnie tą sceną nie przejęła się. Natomiast jej koleżanka przeżyła ciężki szok. Szok kulturowy z „przodującego kraju na świecie", szok, z którego długo potem nie mogła się otrząsnąć. Głębokie wrażenia, które wywołuje zwiedzanie Ławry zostały znacznie przytłumione przez ten nieszczęsny incydent.

Jakże w sumie smutna jest ta historia. Naród rosyjski żyjący we wsiach i małych miasteczkach, przypisany do miejsca jak w średniowieczu, nie mający dostępu do wiedzy, w szczególności do wiedzy, która wykraczałaby poza granice ZSRR, ba, nawet poza granice tych wsi i miasteczek… Naród znający tylko ciężką pracę, a jako jedyną rozrywkę – wódkę. Naród któremu odebrano religię, a jednak, mimo zakazów i niewątpliwych represji, lgnący do starych tradycji religijnych… Przyjeżdżający, czy przychodzący pieszo, nawet z daleka do tego Świętego Miejsca, do cerkwi, do ikon, do modłów, do świętej wody, do zawodzących pieśni, dźwięku dzwonów, zapachu kadzideł… Na ogół nie spotykający na swojej drodze niczego i nikogo nowego. Polki, ubrane elegancko Panie, wydały im się przybyszkami z zaświatów, tchnących zbawieniem…

Przemiany po 1989 roku

O carskiej Rosjii mówiono, że była kolosem na glinianych nogach. I rzeczywiście – niespodziewanie szybko upadła, ale na jej gruzach natychmiast wyrósł nowy kolos, ZSRR. Kolos wydawałoby się wszechmocny, przepotężny, nienaruszalny... I do tego okrążony i wspierany przez satelitarne kraje demoludów.

A jednak, nagle w 1989 roku zaczął się lawinowy kryzys komunizmu, zwany dziś „Jesienią Ludów" (w odróżnieniu od „Wiosny Ludów" w 1848 roku). Reakcje rządów komunistycznych na działania opozycji nie były już typowe jak dawniej – w stylu ostrych kontrataków lub „uchylania klapy bezpieczeństwa", aby doraźnie uspokoić wrzenia społeczne. Nastąpiło wywracanie wszystkiego do góry nogami, ale o dziwo – w ogromnej większości – pokojowo, co było zupełną nowością w tradycjach komunistów. Nie dziwne, że w tym chaosie wiele ludzi, szczególnie właśnie komunistów, kompletnie gubiło się.

Solidarnościowy, antykomunistyczny ruch w Polsce, zapoczątkowany w 1980 roku, a następnie okrutnie zgnieciony przez kilkuletni Stan Wojenny istniał jednak ciągle pod powierzchnią i w końcu doprowadził do rozmów z komunistami najwpierw „w Magdalence", a potem rozmów „Okrągłego Stołu", zakończonych w 1989 roku porozumieniem z władzą komunistyczną. Odbyły się później w Polsce bezprecedensowe wolne wybory, w których wygrała Solidarność.

Tym razem, po raz pierwszy nietypowo zareagował ówczesny Radziecki Pierwszy Sekretarz, Michał Gorbaczow – nie posłał, jak zwykle poprzednio zdarzało się (pamiętamy Węgry w 1956 roku i Czechosłowację w 1968 roku), swojej po zęby uzbrojonej armii, by siłą bronić komunistów, ani do Polski, ani potem do innych satelitarnych krajów komunistycznych (dostał za to później Pokojową Nagrodę Nobla!).

Wkrótce po wolnych wyborach w Polsce, solidarnościowy ruch w Niemieckiej Republice Demokratycznej doprowadził do radykalnych reform, zburzenia Muru Berlińskiego i zjednoczenia z Republiką Federalną Niemiec. W wyniku „welwetowej rewolucji" rząd komunistyczny w Czechosłowacji po prostu podał się do dymisji. W Bułgarii w 1990 roku parlament zadecydował, że zlikwiduje monopol partii komunistycznej, a w rok poźniej w Albanii również wymuszono rezygnację komunistów.

W Rumunii, która nigdy nie zaakceptowała „destalinizacji", w której komunistyczny reżym był wyjątkowo opresyjny i nie istniały żadne aktywne grupy dysydenckie, rewolucji dokonały… masowe środki przekazu, głównie telewizja, która po prostu pokazywała co się dzieje w innych krajach upadającego „przodującego komunizmu". Doprowadziło to do gwałtownego, lecz trwającego tylko jeden tydzień, narodowego „pospolitego ruszenia", które zakończyło się szybkim procesem i egzekucją komunistycznego tyrana Ceauşescu.

Nieudany zamach stanu komunistów w ZSRR przeciwko Gorbaczowowi w 1991 roku zakończył partyjne kontrolowanie wojska i rządu w tym kraju. Wkrótce potem ZSRR rozpadło się na 15 niezależnych i już niekomunistycznych krajów.

Na fali europejskich antykomunistycznych wydarzeń, w Nicaragui, poletku doświadczalnym ZSRR i Kuby, demokratyczne wybory wreszcie obaliły Sandinistę i przyjaciela Fidela Castro, Daniela Ortegę. Najśmieszniejszym faktem było, że natychmiast po jego porażce zjechali się do Managui jego poplecznicy, głównie ci z USA. Urządzali wielkie mityngi dla poparcia Ortegi. Czerwone sztandary powiewały nad tłumem… To ci dranie, co siedzą w Stanach Zjednoczonych, w tym najbardziej demokratycznym państwie, chcą wdrażać komunizm w Bogu ducha winnej Nikaragui?! Idee Marksa, Engelsa, Lenina i ich spadkobierców zatruły świat doszczętnie. Pomieszały w głowach głupim ludzim. Obecnie, po 16-tu latach Ortega ma znów duże szanse być wybranym w listopadowych wyborach prezydenckich 2006…

O swoim kraju i przemianach po obaleniu komunizmu mówił bardzo śmiesznie w czasie swych występów w newadańskim Lake Tahoe w 1991 roku komik, Jakow Smirnow, uciekinier z ZSRR, który po przewrocie odwiedził Rosję.

Jakow mieszkał w ZSRR z rodzicami przez 26 lat w mieszkaniu składającym się z jedego pokoju w budynku-mrówkowcu na osiedlu, co zresztą było typowe. Gdy rodzice chcieli „*making love*", czyli mieć bardzo intymne zbliżenia, to stawiali Jakowa przed oknem i nie pozwalali mu się odwracać. Raz, po seansie, zapytali co tam widział przez to okno. – Widzę, że nasi sąsiedzi na przeciwko „*are having sex*" – zaskoczył rodziców odpowiedzią. Rodzice zdenerwowali się: – CO?!! Co takiego?!! – No tak, bo ich syn stoi w oknie i patrzy na mnie!

Przed emigracyjnym wyjazdem do USA wszyscy koledzy Jakowa w ZSRR ogromnie mu zazdrościli. Wspominali opowiadania dawnych imigrantów o pierwszym spotkaniu z Ameryką: imigrantów zawsze witała wspaniała Statua Wolności. Gdy Jakow przyleciał do Stanów i wysiadł na lotnisku Kennedy'ego i po przejściu bardzo długich korytarzy zobaczył pierwszą amerykańską osobę, otyłą Murzynkę w *Immigration Office*, wykrzyknął w uniesieniu: – *Statue of Liberty*!! – A Murzynka odpowiedziała: – *Yap*!! – co co jest slangowym „*yes*", czyli „tak", ale brzmi bardzo podobnie do wulgarnego rosyjskiego „*job*" i tak oczywiście Jakow to słowo wymawiał.

– Że w ZSRR niewiele było informacji o Ameryce? Bo i po co? Cóż taki sowiecki człowiek zrozumiałby na przykład z Watergate? Że rządząca grupa zainstalowała mikrofony u konkurencji? U nas to się nazywało „*standart room service*" (standartowa obsługa klienta)! – perorował dalej Jakow.

– Demokracja w Rosji? Przedtem to partia wyznaczała tych wstrętnych, skorumpowanych, głupich polityków na wysokie stanowiska. A teraz – naród wybiera ich… SOBIE SAM! Jakow twierdził również, że są duże różnice w porównaniu z przeszłością: przed zmianami w Rosji, KGB-owcy chodzili za tobą. Teraz dają ci eskortę i ty chodzisz za nimi! (Faktem było, że wielu KGB-owców przekwalifikowało się szybko w ochroniarzy).



MacDonalds w Moskwie

Jakow przywiózł i pokazał też sfilmowany ogonek Rosjan przed pierwszym MacDonalds'em w Moskwie. Gruby ogonek zawijał się wzdłuż całego kwartału ulic, co w Moskwie nie było wcale widokiem niezwykłym. Różnica jednak polegała na tym, że stali w nim również w sile wieku mężczyźni i dzieci, oraz wszyscy ludzie byli odświętnie wystrojeni na okazję zjedzenia obiadu w tym pierwszym amerykańskim kapitalistycznym przyczółku w byłym bastionie komunizmu. Szczególnie byli podnieceni, że nie tylko dostaną hamburgera i frytki, ale również i papier toaletowy!! Jakow też stoi w tej kolejce, czas się dłuży, głodno, więc wyciągnął z kieszeni *twinky* (popularne amerykańskie ciastko w celofanie, lubiane przez dzieci, przy czym nikt nie wie

co to jest ten biały „*stuff*”, nadzienie w środku tego ciastka). Poczęstował jednym *twinkiem* opasłą kobietę stojącą przed nim. Najwpierw nie chciała, wzbraniała się, potem dała się namówić. Spróbowała i rzekła: – Smakuje jak kartofel z Czernobyla!

Jak bardzo intensywnie nerwowym i emocjonalnym był ten pierwszy po wyemigrowaniu do USA pobyt Jakowa w Rosji – świadczył jego powrót do Ameryki. Gdy wylądował na lotnisku w Newarku, rozejrzał się podziwiając „piękno” wokół, uklęknął, pocałował ziemię i przysiągł, że już nigdy nie będzie wyśmiewać się z… New Jersey.

Sytuację w ZSRR w latach „*pierestrojki*” (przebudowy) i „*głasnosti*” (jawności) Gorbaczowa, w okresie przejściowym, zakończonym upadkiem komunizmu, dobrze charakteryzuje następująca anegdotka: Rosjanin wchodzi do pobliskiego baru, prosi o piwo i kładzie na ladzie przed barmanem 50 kopiejek. Barman oponuje: – Teraz piwo kosztuje jednego rubla, bo dodatkowe 50 kopiejek to specjalny podatek rządowy na *Głasnost'* i *Pierestrojkę*. Konsument kręci nosem, ale po chwili mówi: – No dobrze, niech będzie, ja też jestem za „*głasnością*” i „*pierestrojką*”. Zabiera 50 kopiejek i kładzie rubla. Barman kasuje rubla i wręcza klientowi spowrotem 50 kopiejek. – Jak to, – oponuje klient – przecież miał być ten podatek… – Tak, tak, ale PIWA NIE MA!!

Będąc w 1995 roku w Moskwie odwiedziłam, między innymi, MWTU, teraz przemianowany na „Moskiewski Państwowy Uniwersytet Techniczny” (aczkolwiek ciągle dodają do tej nazwy nazwisko komunisty-Bauman'a…) i odnalazłam tam pracownicę Uniwersytetu, wykładowczynię Wytrzymałości Materiałów, jedną z koleżanek Rosjanek, Stellę, która mieszkała w tym samym *Obszczeżyciu* co ja w owych dawnych latach. Stella nawet przyznała się, że się trochę podkochiwała w Jurku. Miałyśmy bardzo dużo do opowiadania sobie!



Front nowego budynku Moskiwewskiego Państwowego Uniwersytetu Technicznego



Autorka ze Stellą Andrejewską w Moskwie, 1995 r.

Odwiedziłam też ładnie odnowiony z zewnątrz budynek naszego *Obszczeżycia*. Teraz znajduje się w nim Przychodnia Lekarska. Pozwolono mi jednak wejść do środka i na piętra, by po 40-tu latach jeszcze raz rzucić okiem na te pamiętne wnętrza.

Pojechałam też wtedy do GUM-u. W tym ogromnym sklepie nie było prawie żadnych kupujących! Sytuacja się odwróciła: przedtem było dużo pieniędzy a brakowało towarów. Teraz jest dużo trudniej, bo brak pieniędzy. Cała filozofia komunistyczna zawaliła się, bo to właśnie w komuniźmie miało nie być pieniędzy, a każdy miał dostawać według potrzeb…

Komunizm wyprał z głów przeciętnych ludzi przedsiębiorczość, aktywność, inicjatywę. Nikt ich nie uczył być samodzielnymi, śmiało realizującymi zamierzenia. Jedyną warstwą, która była dobrze wyszkolona w tej mierze była „nomenklatura”, czyli komuniści, którzy znajdowali się tuż „przy żłobie”. Po przewrocie w 1990 roku ci „zasłużeni towarzysze” w kilka dni zmienili skórę i stali się bardzo przedsiębiorczymi kapitalistami.

Tak właśnie, między innymi, powstał światowy potentat, firma „Gasprom”.

Gazprom, rosyjski koncern państwowy, największy światowy wydobywca gazu ziemnego oraz ropy naftowej zatrudnia około 300 tysięcy pracowników z 15 razy niższą wydajnością pracy niż w podobnych zachodnich przedsiębiorstwach. Od jego dostaw gazu uzależniona jest obecnie energetyka całej Europy Wschodniej i Środkowej, oraz wszystkich krajów wyłonionych z byłego ZSRR.



Okazała siedziba Gasprom'u w Moskwie

Kilku potentatów (między innymi Wiktor Czernomyrdin, który w 1992 i 1998 roku znalazł się na czele rządu Rosji) bardzo szybko stało się jednymi z najbogatszych ludzi na świecie. Będąc blisko żłobu, pokradli dla siebie co mogli jeszcze za czasów komuny, lokując fundusze w bankach zachodnich. Później, w czasach prywatyzacji ustawili ceny akcji Gaspromu tak nisko, by móc nabyć ich dużą część. Po nabyciu – zdziesięciokrotnili ich cenę. Jakiż to raj dla wykształconych, pomysłowych, przedsiębiorczych ludzi otworzył się po usunięciu komuny! Teraz, w większości przypadków, oczywiście znów ci sami komuniści są u żłobu, bo któżby, przecież nie zdezorganizowani, prześladowani, zagłodzeni dysydenci, z mało skrystalizowanymi ideami i to jedynie w sferach politycznych!

Lenin zdefiniował komunizm jako „władzę Rad plus elektryfikację". Obecnie Prezydent Władimir Putin ma swój własny nieco tylko zmodyfikowany slogan: „Potęga Kremla plus kontrolowanie przemysłu gazowego i ropy naftowej" (a ostatnio również i przemysłu aluminiowego).

Wśród najbardziej aktywnych byłych działaczy komunistycznych w Rosji znajduje się ogromna grupa byłych KGB-owców. Aktywny ich udział w biznesie zaczął się ponad 15 lat temu, gdy zaczęła sie prywatyzacja całego wielkiego molocha przemysłu, komunikacji, telekomunikacji i innych gałęzi gospodarki Rosji. KGB-owcy rejestrowali wtedy prywatne spółki, które miały się zajmować obserwacją rynku. Potem uznali, że dużo taniej jest wprowadzić własnego agenta do zarządu jakiejś liczącej się spółki. Wkrótce w tych spółkach, jako ci, którzy mieli najlepsze rozeznanie rynku i liczne personalne powiązania, byli KGB-owcy stawali się dyrektorami spółek operujących zarówno w Rosji jak i w innych krajach. Dziś ci dyrektorzy stanowią poważną siłę na arenie politycznej Rosji.

Wielu również Rosjan, zwykle tych starszych, którzy byli w latach kwitnącego komunizmu „u żłobu", po przewrocie szybko zagarnęli swoje ogromne majątki (zresztą często już dużo wcześniej lokowane w bankach zachodnich) i teraz żyją jako „emeryci z fortuną" na Riwierze we Francji, albo na tropikalnych wyspach świata. Są to na ogół ludzie zupełnie zdemoralizowani, o bardzo niskim poziomie kultury.

W międzyczasie, po upadku komunizmu odnowiło się życie kulturalne w Rosji, aczkolwiek kultura szerokim frontem nie zawsze teraz może docierać do wszystkich, ze względu na podwyższone znacznie – w stosunku do przeciętnych zarobków – ceny, na które większości obywateli po prostu nie stać. W teatrach Rosji wznowiono wiele zabronionych w ZSRR sztuk, oper i baletów, między innymi pięknego baletu „Szeherezada" Rymskiego-Korsakowa, nie wystawianego wiele lat. Balet ten był „na indeksie", w szczególności w Leningradzie, nie ze względu na treść tej niewinnej baśni z „Księgi tysiąca i jednej nocy", lecz ze względu na autora libretta, Aleksandra Benois, który wprawdzie urodził się i wychował w Petersburgu, ale pochodząc z rodziny francuskiej uciekł w 1930 roku do Francji, czego Stalin nie mógł mu wybaczyć. Będąc w 1994 roku w St. Petersburgu, Donowi Bently udało się dostać bilet do petersburskiej opery na wspaniałą galową premierę Szecherezady, o której ciągle jeszcze opowiada.

Będąc w Moskwie w 1995 roku odwiedziłam między innymi park, w którym znajdowały się pomniki komunistycznych przywódców, literalnie zdjętych z piedestałów. Tuziny Leninów, Stalinów, Breżniewów, oraz wiele statuetek i popiersi mniej słynnych osobistości ZSRR, jak Dzierżyńskiego, leżały porozrzucane na trawie, wśród drzew i zarośli. Jakaż to odmiana losów!



Autorka przed powalonym pomnikiem Stalina w moskiewskim parku; 1995 r.

Słyszałam jednak ostatno, że wiele zupełnie nowych pomników Lenina wznosi się w różnych miastach Rosji (na przykład w Kaliningradzie, z podpisem na pomniku: „Mąż stanu – Włodzimierz Lenin") oraz, że podobno Prezydent Putin zamierza ponownie postawić pomnik Dzierżyńskiego, swego byłego szefa, w poprzednim miejscu przed Łubianką…

Zakończenie

Jestem ogromnie wdzięczna losowi, który postawił na mojej drodze wspaniałych ludzi – nauczycieli, w tym – świetną matematyczkę, panią Piotrowską, jak również twardą, konsekwentną działaczkę, towarzyszkę Rudnicką, oraz wszystkich profesorów, wykładowców i kolegów z owych dawnych moskiewskich czasów, że tak właśnie zupełnie niespodziewanie potoczyło się moje pomaturalne życie. Dwa lata intensywnej nauki

w Moskwie, zarówno w dziedzinie inżynieryjnej jak i praktycznej nauki języka rosyjskiego, dały mi mocne podstawy dalszych profesjonalnych osiągnięć. Poznałam Moskwę i realia stolicy tego „przodującego kraju", kraju w rzeczywistości zbudowanego na niesprawiedliwości, wątpliwej, niewdrażalnej w życie idei i na kłamstwach. Dwa lata przeżyte w Moskwie w zupełnie dla mnie nowych, niełatwych warunkach, nauczyły mnie wielu ważnych aspektów współżycia z ludźmi i to w rozmaitych, często bardzo trudnych okolicznościach. Przestałam się też bać podejmowania samodzielnych, niełatwych, niejednokrotnie kontrowersyjnych decyzji życiowych. I wreszcie – tam właśnie, w Moskwie, zaczęłam przeżywać moją największą miłość.

Dziś z częścią moich moskiewskich kolegów straciłam kontakt, a wielu z nich już niestety nie żyje: Joanna, Lońka, Kazik, Gienek, Janek, Józek… Nie żyją też moje dwie szkolne przyjaciółki – Renia i Marta. Przykro. No cóż… Od tamtych czasów minęło ponad pół wieku…

Ich pamięci to opowiadanie poświęcam.

Gardnerville, Nevada, we wrześniu 2006 roku



Prof. Dr Agnieszka Muszyńska